

45. ROCZNICA KORONACJI PIETY LIMANOWSKIEJ



Fot. Zbigniew Grochot

**10. rocznica śmierci
ks. bp. Piotra Bednarczyka**

„Ulica 24” na Rynku w Limanowej

**Z kart historii
- początki szkolnictwa
średniego w Limanowej**

**Pierwsza po wojnie
wizyta duszpasterska**

**Ostatnia droga
limanowskich Żydów
- Miejsce Pamięci w Bełżcu**

**Niezlamani klęską
- działalność konspiracyjna
w Limanowej**

**Od niego wszystko się zaczęło
- wspomnienia o rodzinie Kurtyczów**



**Koronacja Piety limanowskiej
11 września 1966 rok**



Fotografie: Zbigniew Grochot



Widok od strony „Siwego Brzegu” w kierunku kościoła.

45. rocznica koronacji limanowskiej Piety

Jan Wielek

Ta wiara nas tu przyprawia, taka wiara nas skupia przy tej przepięknej figurze, która od wieków znajduje się w Limanowej - to słowa wypowiedziane 45 lat temu przez ks. abp. Karola Wojtyłę metropolitę krakowskiego (późniejszego papieża Jana Pawła II), podczas koronacji łaskami od wieków słynącej figury, Matki Bożej Bolesnej, 11 września 1966 roku.

W rocznicę wydarzeń przypominamy największą w dziejach miasta Limanowej uroczystość w artykule Jana Wielka, bezpośredniego uczestnika tych uroczystości, który był również zaangażowany w przygotowania związane z jej przebiegiem.

Rok 1966 w Polsce to wielkie obchody „Millenium” – czyli 1000-lecia przyjęcia chrześcijaństwa przez nasz naród. Obchody te miały na pół charakter państwowy i kościelny - z przewagą tych pierwszych.

Koronacja limanowskiej Piety miała być diecezjalnym aktem milenijnych uroczystości, co nadawało jej specjalny charakter. Później, w wyniku zbiegu kilku okoliczności, stała się początkiem oficjalnych kontaktów społeczeństwa z osobą wtedy jeszcze arcybiskupa krakowskiego - Karola Wojtyły, późniejszego papieża, a dzisiaj błogosławionego – Jana Pawła II.

Te kilkanaście, słów które skreślałam, oparte jest głównie na moich własnych przeżyciach tych dni i tym co zapamiętałam. Miałem wtedy siedemnaście lat, byłem uczniem jedenastej, czyli wtedy maturalnej klasy Liceum Ogólnokształcącego w Limanowej.

Ale zanim opowiem o tym dniu, kilka wcześniejszych wspomnień: Człowie-

kiem, który bardzo promował koronację limanowskiej Piety, oprócz oczywiście proboszcza limanowskiego – ks. Ludwika Kowalskiego, był ks. dr Piotr Bednarczyk, wtedy profesor tarnowskiego Seminarium Duchownego, a później biskup - w tym roku mija 10. rocznica jego śmierci.

Spotkałem go parę lat wcześniej, kiedy jako „postulator” przygotowywał naukowe i kanoniczne podstawy do uznania przez odpowiednie władze watykańskie kultu limanowskiej Piety i wydania odpowiedniego dokumentu na oficjalną koronację – jak to się wtedy mówiło „papieskimi koronami”. Świadczyć o tym miały m. in. kapliczki z jej wizerunkiem stojące w okolicach Limanowej i dalej, przy domostwach i drogach. Właśnie opisywał kapliczkę stojącą przy moim domu i był bardzo zdziwiony, że tak dużo mogłem na ten temat powiedzieć. Oprowadziłem go też po kapliczkach znajdujących się w najbliższej okolicy i wtedy zaproponował mi, bym mu w tych „nauko-

wych” wyprawach towarzyszył w dniach następnych. Rodzice wyrazili zgodę, były wakacje i odtąd codziennie, przez kilkanaście dni pojawiałem się w rodzinnym domu ks. Bednarczyka przy ulicy Słonecznej. Zakładałem chlebak z prowiantem i z księdzem niosącym duży notes, ołówek i miarkę do mierzenia wysokości rzeźb wyruszaliśmy w okoliczne wsie. Ja szedłem przodem, pełniąc rolę „wywiadowcy”, później w odpowiednie miejsca kierowałem księdza doktora, który dokonywał należytych oględzin kapliczki, zapisywał dane o fundatorach, intencjach jakie im towarzyszyły, wykonawcy figury, itp. Mój udział w tej naukowej peregrynacji ks. dr. Bednarczyka potwierdził później on osobiście w owym naukowym opracowaniu, które trafiło do Rzymu, a łaciński i polski maszynopis znajduje się w limanowskiej bibliotece parafialnej.

Te wędrowki pamiętam jeszcze z pewnego prozaicznego faktu – po raz pierwszy jadłem żółty ser szwajcarski (widocznie był piątek i takie były kanapki na drogę); ks. Bednarczyk otaczał mnie później wielką „ojcowską” opieką – jeszcze jako uczniowi zawsze przysyłał kartki z życzeniami i nieodłączną „stową”, która dla mnie była wtedy poważną sumą. Wiele lat później, już jako biskup senior, który często odwiedzał limanowskie muzeum, wyznawał, że jednego nie udało mu się uczynić – zrobić ze mnie księdza, ale że tego zupełnie nie żałuje. ▶

Na stronie 2: U góry - Procesja dostojnych gości, księży biskupów podążająca w kierunku ołtarza polowego, miejsca koronacji Cudownej Figury. Po lewej - Poświęcenie korony. Po prawej - Oczekiwany gość koronator limanowskiej Piety ks. abp Karol Wojtyła (papież Jan Paweł II). Poniżej - Figura Matki Bożej Bolesnej przed koronacją.



Uroczyste przeniesienie z kościoła figury Matki Bożej Bolesnej do koronacji.



Figura na tronie przygotowana do koronacji. Obok ks. Ludwik Kowalski, proboszcz limanowski.

► Pozostawmy sprawy prywatne i zajmijmy się głównym tematem.

W parafii zaczęto czynić wielkie przygotowania do zapowiadanej już i pewnej uroczystości. W kościele przebudowano chór muzyczny, nadając mu współczesny kształt, zakupiono i zamontowano nowe, 60 – głosowe organy (stare przeniesiono jako „echo” do prezbiterium), przebudowano wielki ołtarz, już według nowej, posoborowej mody, tak by kapłan – celebrans był zwrócony twarzą do ludu (ponoć był to pierwszy taki ołtarz w diecezji). W głównej fasadzie, umieszczono „tron” dla limanowskiej Pani, zasłaniany na noc na przemian dwoma obrazami pędzla sądeckiej artystki Marii Rychter (obecnie eksponowane są w Domu Pielgrzyma, zasłony wymieniono na pancerne). Szacowną limanowską Pietę poddano gruntownej konserwacji, której dokonano w pracowniach wawelskich. Przy okazji z głowy Matki Bożej zdjęto drewnianą, barokową w stylu koronę, która ją dotąd zdobiła i zmieniono oblamowanie szat, powracając do pierwotnej odkrytej przy konserwacji kolorystyki. Zubożyło to nieco wizualnie figurę, co przez wielu, przyzwyczajonych do dawnego wizerunku było krytykowane (podobnie jak i przebudowa ołtarza). Trwały również różne uroczystości o charakterze religijnym – misje święte, rekolekcje, nowenny.

Biskup tarnowski, Jerzy Ablewicz, wydał specjalny list pasterski, który opisywał kult limanowskiej Piety w ciągu wieków. Na uroczystości mające charakter milenijny uczono specjalnie ułożonych pieśni pątniczych.

Bezpośrednie przygotowania rozpoczęły się z chwilą nastania wakacji. Ja wtedy uczestniczyłem w przygotowaniu oprawy muzycznej. W Limanowej działał duży, około 40 – osobowy chór męski, w którym śpiewałem „od małego”.



Stutysięczna rzesza wiernych w czasie uroczystości koronacyjnych.



Ks. abp Karol Wojtyła, metropolita krakowski nakłada koronę na skronie figury Matki Bożej Bolesnej.



W kościele Piętę przenoszą do ołtarza księża biskupi: od prawej Jerzy Ablewicz, Karol Pękala, z tyłu za figurą podąża abp Karol Wojtyła.

Zespołowi temu powierzono oprawę mniej ważnych nabożeństw, a jego przygotowaniem zajął się ówczesny dyrygent, Cezary Tomaszek.

Założono, iż oprawą głównej uroczystości koronacyjnej będzie występ chó-

ru mieszanego, który zostanie połączony z Chórem Katedry w Tarnowie, którym dyrygował ks. Kazimierz Pasionek, rodem ze Żmiącej, wówczas profesor muzyki w tarnowskim Seminarium Duchownym (był on kompozytorem muzyki do

kilku pieśni ku czci Matki Bożej Limanowskiej). Chóru mieszanego wówczas w Limanowej nie było, jego utworzenie zlecono ówczesnemu wikaremu, ks. Antoniemu Szydłowskiemu. O głosy męskie nie trzeba się było martwić – byli bowiem śpiewacy z chóru męskiego, ogłoszono natomiast nabór do głosów kobiecych – sopranów i altów, ale później oparliśmy się na uczennicach Liceum Pedagogicznego w Limanowej, które miały w programie obowiązkową naukę muzyki i śpiewu.

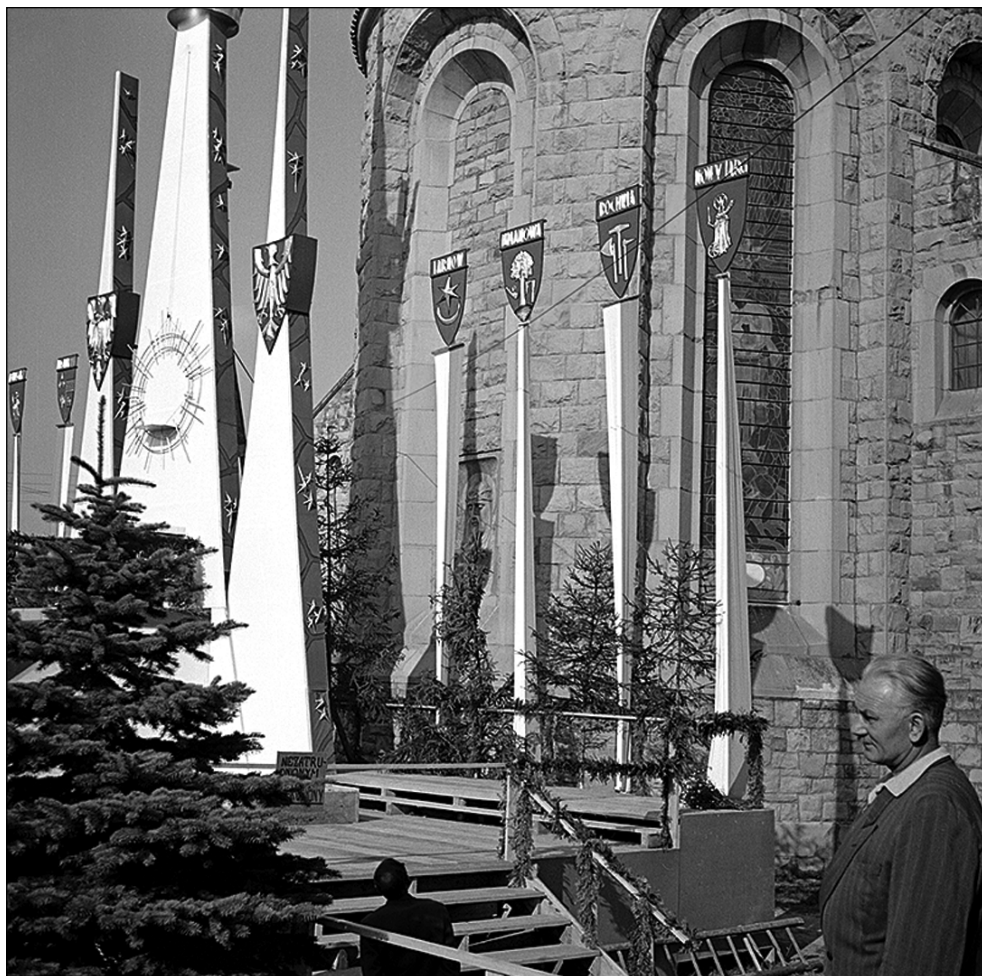
Do pracy otrzymaliśmy tylko partytury, należało więc rozpisać poszczególne głosy, tak by zarówno nuty jak i kartkę miał każdy śpiewak. Było tego kilkaset kartek i wszystko trzeba było wykonać ręcznie, bo o ksero wtedy nikt jeszcze nie marzył. Pomagały mi w tym koleżanki z liceum, ale i to zajęło kilka godzin. Próby odbywały się w kaplicy św. Anny dwa razy w tygodniu, chór męski odbywał swe próby oddzielnie. Praca dała pozytywne efekty – chór został bardzo wysoko oceniony przez „wizytującego” nas księdza profesora Pasionka i śpiewający później z nami, prawie zawodowy Chór Katedry w Tarnowie. ▶



► Pozostała sprawa orkiestry. Parafialnej jeszcze wtedy nie było, w Limanowej działały co prawda dwie duże orkiestry zakładowe, ale to były jeszcze inne czasy i inni ludzie. Zaproszono więc dobrą i dużą orkiestrę strażacką z Sidziny k. Jordanowa. Byłem tam z ks.prof. Pasionkiem na dwóch próbach. Na centralną uroczystość koronacyjną przyjechali punktualnie, dobrze też wypadli pod względem artystycznym.

Już pod koniec sierpnia zaczęła się bezpośrednia praca przy budowie ołtarza koronacyjnego, który został usytuowany z tyłu prezbiterium limanowskiego kościoła. Najpierw budowa dużego, drewnianego postumentu, później elementów architektoniczno – plastycznych, opartych na trzech wysokich białych iglicach. Główną ozdobiła duża, złota gotycka korona, podobna w kształcie do tej, jaką później założono na głowę limanowskiej Piety. „Trony” dla zaproszonych biskupów ozdobiono ich herbami i zrobiono wiele dodatkowych elementów. Pracami kierował i wykonywał główne elementy brat zakonny Piotr Szafranek ze Zgromadzenia Chrystusowców (Puszczykowo pod Poznaniem). Podziwiałem jego zręczność w modelowaniu poszczególnych elementów plastycznych. Dalej cieśle wznosili potężną konstrukcję dla chóru, musiała pomieścić ponad stu śpiewaków i orkiestrę. Nie było przecież wtedy budowli i urządzeń dzisiejszego Placu Koronacyjnego. Pod wysokim murem zbudowano jedynie drewnianą „kaplicę”, mieszczącą potrzebne rzeczy do obsługi spodziewanej rzeszy pielgrzymów, rozstawiono także „polowe” konfesjonały. Miejscem zgromadzonych pielgrzymów był teren tzw. „Siwy Brzeg”, znajdujący się już za Potokiem Starowiejskim. Porządkowano place dojścia, przejścia. Pierwszego września rozpoczął się rok szkolny. Oczywiście „zameldowałem” się w Liceum, ale wkrótce zostałem przy kościele jako „wolontariusz”. Pomagałem przy wykonywaniu elementów ołtarza koronacyjnego, ale później przydzielono mi niewielką „pracownię” w kotłowni w podziemiach plebanii, gdzie miałem wykonać szereg planów informacyjnych, jak: dojazdy do parkingów, zmiany kierunków ruchu drogowego, punkty sanitarne i wiele innych.

Obok: Projekt ołtarza polowego i całej dekoracji opracował brat Piotr Szafranek. **U góry** - Dekoracja przed głównym portalem na ścianie frontowej kościoła. **Poniej** - Ołtarz polowy na tyłach kościoła od strony prezbiterium.



Malowałem na docinanych stosownie do potrzeb płytach pilśniowych długo schnącą emalią olejną, innych farb trwałych wtedy nie było. Do tego doszło mi wiele różnych afiszy ogłoszeniowych z programem uroczystości. Do domu nie chodziłem, stołowałem się na plebanii razem z innymi robotnikami. Popołudniami zaś były próby z chórami. Tak doszło do soboty. 11 września poszedłem do domu, by się porządnie wymyć i przebrać w „kościelne” ubranie. Tego dnia czekało mnie jeszcze inne, niespodziewane zadanie. Otóż na zarządzenie władz szkolnych, by oderwać młodzież od uroczystości, na dzień 11 września, czyli niedzielę, zorganizowano specjalne pociągi zachęcające do darmowych wycieczek. Różnie przy tym poszczególne szkoły podeszły do tego zadania. W Liceum Ogólnokształcącym odczytano na ten temat dyrektorską „kurendę”, zostawiając wybór młodzieży. Nikt też później nie wyciągał żadnych konsekwencji od tych uczniów, którzy nie skorzystali z zaproszenia.

Najgorzej było w Liceum Pedagogicznym, gdzie całą młodzież wywieziono do ośrodka szkoleniowego na Lubogoszcz. Razem z nimi wyjechały nasze chórzystki, które miały w niedzielę śpiewać w czasie głównej uroczystości. W sobotę pod wieczór zostałem poproszony przez proboszcza, bym z rodzicem jednej z uczennic pojechał specjalnie wynajętym autobusem do Kasinki Małej i zaprowadził go na Lubogoszcz. Gdy tam doszliśmy, ów pan, po rozmowie z dyrektorem Antonim Biedą i przedstawieniu odpowiedniej listy, „wydobył” nasze śpiewaczki i spokojnie sprowadziliśmy je do Kasinki, a później autobusem dowieźliśmy do Limanowej. Na drugi dzień wszystkie uczestniczyły w uroczystych śpiewach.

Chór męski udział w uroczystościach koronacyjnych rozpoczął o północy z soboty na niedzielę. Pamiętam, że oprócz wielu okazjonalnych pieśni, wykonaliśmy „Mszę E – dur” Jana Czecha.

Na organach grał Władysław Wieniewski, wówczas organista w Kłodzku, który był synem przedwojennego organisty limanowskiego Weibrennera.

W niedzielę od rana obserwowałem napływ pielgrzymów do Limanowej różnymi sposobami: pociągami, autobusami, a najwięcej „na pieszo” w barwnych rozśpiewanych pielgrzymkach. Po krótkiej modlitwie w kościele przez specjalne

usługi porządkowe kierowane były na przeznaczone dla nich miejsca – czyli „Siwy Brzeg”.

Przed plebanię wjeżdżały samochody z zaproszonymi biskupami i innymi „ważnymi” osobistościami.

Wkrótce nadjechał też ten najważniejszy, który przywiózł głównego celebransa, koronatora – arcybiskupa krakowskiego, Karola Wojtyłę. Przed wejściem do plebanii, oprócz księdza proboszcza, Ludwika Kowalskiego, witali go chlebem i solą przedstawiciele limanowian w strojach regionalnych na czele z działaczem ludowym, Walentym Gawronem. Tutaj krótka refleksja – wszyscy sądzili, że koronacji limanowskiej Piety dokona, tak jak to czynił wcześniej w Okulicach czy w Nowym Sączu, kardynał, prymas Stefan Wyszyński. Wypadły mu wtedy „ważniejsze” sprawy – stąd też zmiana koronatora. Limanowa poczuła się wtedy trochę oszukana czy może raczej niedoceniona. Ale jak to później wielokrotnie powtarzał śp. ks. Jan Rachwał „był w tym wyraźny palec boski”. Któż mógł bowiem przewidzieć bieg dziejów. Później było uroczyste wejście orszaku biskupów do limanowskiego kościoła, któremu towarzyszył potężny hymn „Ecce Sacerdos Magnus”, wykonany przez połączone chóry z towarzyszeniem organów. Po krótkiej modlitwie z kościoła, pod przewodnictwem biskupów, wyszła procesja z figurą limanowskiej Piety, którą umieszczono na ołtarzu koronacyjnym.

Pontyfikalną Mszę koronacyjną rozpoczął chór śpiewem hymnu „Gaude Mater Polonia”, co było nawiązaniem do milenijnego charakteru uroczystości, później śpiewaliśmy mszę „Echo wieków”, której motywy oparte są na dawnych polskich pieśniach i hymnach religijnych, a kompozytorem był znakomity, zmarły niedawno Henryk Mikołaj Górecki. Wśród innych pieśni wykonaliśmy również maryjny hymn „Salve Regina”, specjalnie skomponowany na limanowską uroczystość przez księdza profesora Kazimierza Pasionka.

Głównym celebransem był arcybiskup Karol Wojtyła. Nie było jeszcze wtedy tradycji „koncelebry”, uczestniczący więc w nabożeństwie biskupi zajęli miejsca na przygotowanych im „tronach”. Po homilii biskupa ordynariusza, Jerzego Ablewicza, i odczytaniu odpowiednich papieskich dokumentów, nastą-

pił właściwy moment koronacji. Aktu tego dokonał arcybiskup Wojtyła, towarzyszyli mu przy tym proboszcz, ks. prałat Ludwik Kowalski i ks. prałat Piotr Bednarczyk. Od strony technicznej (koronę należało odpowiednio przymocować) wykonał to ów wspomniany brat zakonny wykonawca ołtarza koronacyjnego. Po tych czynnościach figura przy pomocy specjalnego urządzenia, niewidocznego od strony frontalnej ołtarza, została wciągnięta do góry tak, by widać ją było z najdalszej strony.

Uroczystość zakończona została śpiewem uroczystego hymnu „Magnificat”, po czym nastąpiło błogosławieństwo wiernych, ukoronowaną już Pietą i uroczyste jej odprowadzenie przez biskupów i wiernych do limanowskiego kościoła.

Pielgrzymi powoli zaczęli opuszczać okolice kościoła i miasto. Ilu ich było? Nikt nie policzył. Wiem tylko, iż rozdano ok. 150 tys. komunii świętych, ale dotyczy to chyba całego późniejszego tygodnia, w którym odbywały się jeszcze różne uroczystości związane z koronacją, a komunii świętej nie przyjmowali też wszyscy pielgrzymi. Z tych tygodniowych uroczystości wzięły się zresztą tradycyjne do dzisiaj, wrześniowe odpusty limanowskie.

Słaba pozostała medialna dokumentacja tych uroczystości – oficjalne środki masowego przekazu z reguły, ze względów politycznych, o nich nie informowały, kościół zaś nie posiadał, jak to jest dzisiaj, własnej telewizji czy dostępu do telewizji państwowej, własnego radia, prasy. Jedynie w „Tygodniku Katolickim” ukazało się później duże, panoramiczne zdjęcie uroczystości koronacyjnych z krótkim komentarzem o wielkich obchodach milenijnych w Limanowej. Pozostały tylko „oficjalne” i amatorskie fotografie oraz wspomnienia, które uszczupla naturalne odejście bezpośrednich świadków i blednąca coraz bardziej pamięć.

Tekst: Jan Wielek
Fotografie: Zbigniew Grochot,
Józef Staniszewski,
arch. parafii limanowskiej

Dziesięć lat pamięci

W sierpniu minęła 10. rocznica śmierci ks. bp. Piotra Bednarczyka. Pamięć Tego oddanego kapłana dla Ziemi Limanowskiej uczczono w niedzielę 7 sierpnia w limanowskiej bazylice Mszą św., której przewodniczył biskup tarnowski, ks. Wiktor Skworec.

Po mszy na grobie śp. bp. Bednarczyka w krypcie, która znajduje się w północnej ścianie świątyni, zostały złożone kwiaty i zapalono lampiony.

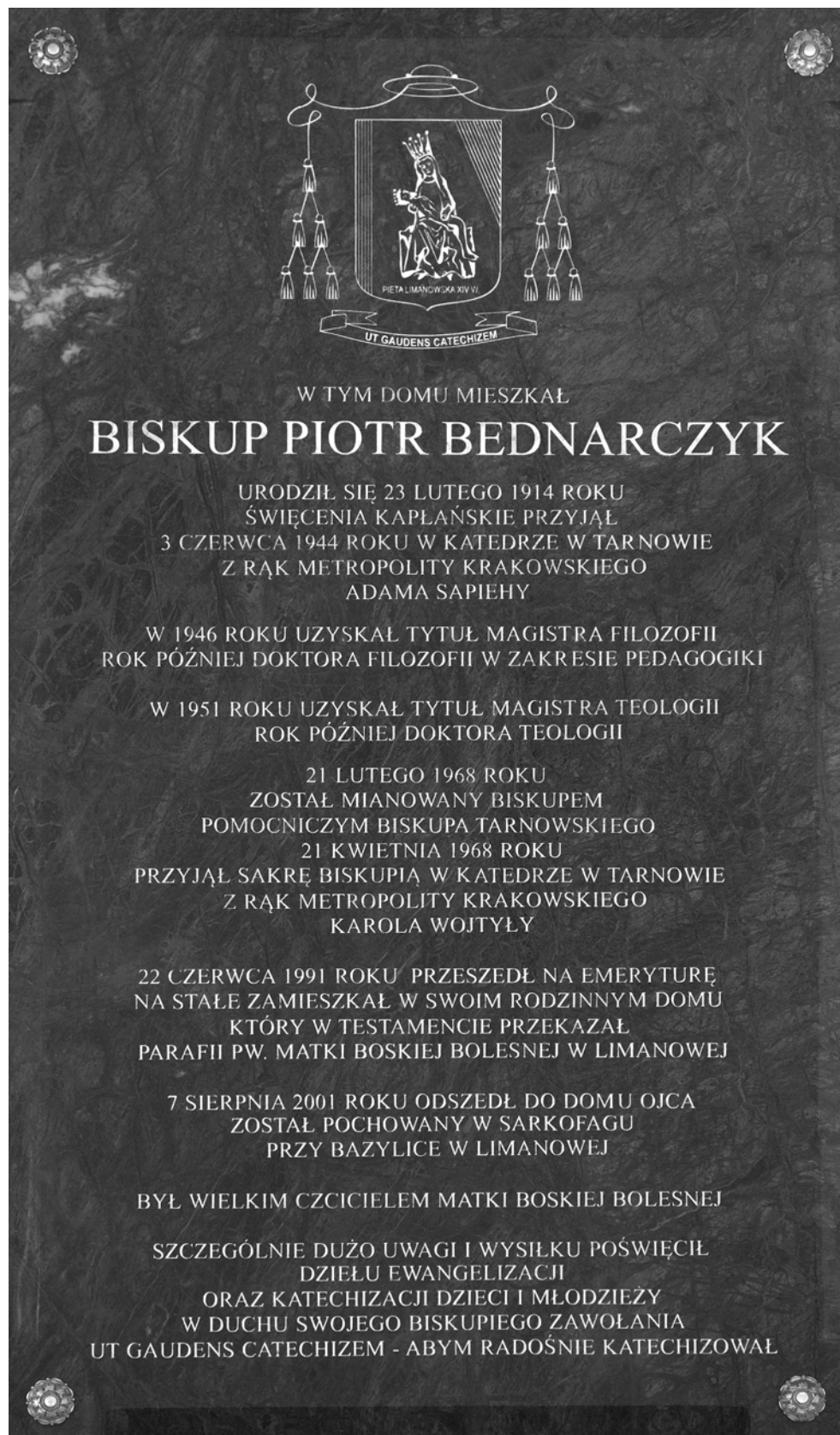
W tym samym dniu odsłonięta została okolicznościowa tablica, wmurowana na fasadzie domu rodzinnego przy ul. Słonecznej, której fundatorami byli: Urzędy Miasta Limanowa i Gminy Limanowa oraz Starostwo Powiatowe. Nadano również imię ks. bp. Bednarczyka przedszkolu, obecnie mieszczącemu się w tym budynku.

SŁUGA

Pamięci Biskupa Piotra Bednarczyka

Zakochany w Matce Chrystusa,
z pielgrzymim bagażem
codziennych trosk
o Kościół
i Człowieka,
miłujący miasto dzieciństwa,
z głęboką świadomością
wartości zasianego słowa,
z różańcem wplecionym
w kapłańskie życie,
z serdeczną wdzięcznością
- odszedł drogą
wybraną
na wieczność.

Zbigniew Wrona



Tablica na fasadzie domu rodzinnego ks. bp. Piotra Bednarczyka przy ul. Słonecznej.



Sarkofag śp. ks. bp. Piotra Bednarczyka w krypcie północnej ściany limanowskiej bazyliki.



Kapłani uczestniczący we Mszy św. przy krypcie grobowej ks. bp. Bednarczyka.



Powyżej: Składanie kwiatów przez delegacje samorządowe.
Poniżej: Biskup tarnowski Wiktor Skworec wśród dzieci Przedszkola im. ks. bp. Piotra Bednarczyka, mieszczącego się przy ulicy Słonecznej.



Odślonienie tablicy wmurowanej na ścianie rodzinnego domu księdza biskupa Bednarczyka przez fundatorów: od lewej - Władysław Bieda - burmistrz miasta, Franciszek Dziedzina - wicestarosta limanowski, Władysław Pazdan - wójt gminy Limanowa.



Fotografie: Monika Kempny

Po dziesięciu latach

Józef Szymon Wroński

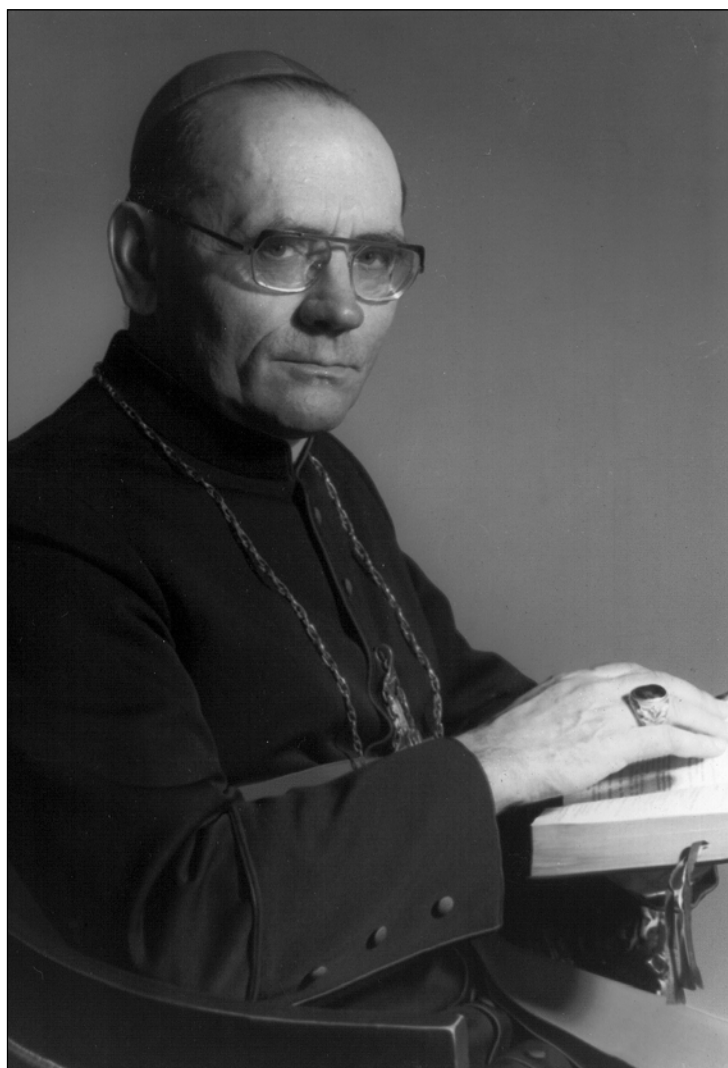
*Chyba Jan Kochanowski za swojego czasu.
Gdy ranną pieśń wyśpiewał od Czarnego-Lasu,
Miał równą sławę w Polsce i tak wdzięczne chęci,
Jak Biskup Warmiński za mojej pamięci.
(Wincenty Pol)*

Gdy po dziesięciu latach od śmierci wspominamy Naszego Drogiego Rodaka ks. bpa Piotra L. Bednarczyka, możemy powiedzieć, parafrazując ostatnie dwa wersy wiersza Wincen- tego Pola (1807-1872), że *Biskup Piotr L. Bednarczyk: Miał równą sławę w Limanowej i tak wdzięczne chęci, jak nikt inny za naszej pamięci.* O tym zaświadczyają słowa tekstu krakowskiej uczennicy i chociaż były one już swego czasu drukowane, warto je przeczytać raz jeszcze i zadumać się nad ich treścią, gdyż mówią trafnie o życiu Naszego Biskupa i w dodatku - wierszem, co ks. Biskup sobie szczególnie cenił, a wiersz znał i serdecznie zań dziękował:

*Z paciorków Różańca
Życie się składa
I Krzyż w nim jest
I Wierzę.
Twoje z Bogiem jest połączone,
Jemu złożone w ofierze.
Na ziemi bólem pokaleczonej,
Jak twarz Limanowskiej Pani,
Żyjesz, Pracujesz,
Modlitwę Wznosisz,
Wstawiasz się u Niej za nami.
Twe serce po brzegi dobrocią zajęte,
Lecz zawsze gotowe czeka,
By przyjąć, pomoc i żyć nauczyć
Każdego przecież człowieka.
My Ci Pasterzu
Dziś dziękujemy,
Choć słowa nasze są małe;
Ucz nas mądrości,
Jak kochać Ojczyznę,
Żyj(l) nam na Bożą Chwałę¹.*

Po latach, gdy ks. Biskupa wspominamy... należałoby dopisać dalszą część owego wiersza, podsumowując jego pracowite i pełne troski życie - Biskupa patrioty, któremu sprawy Ojczyzny tej z dużej i małej litery bardzo leżały na sercu. Kochał nade wszystko swoje rodzinne miasto z jego kościołem i Matką Boską Limanowską do tego stopnia, że umieścił JA - Tę WIELKĄ PANIĄ Z LIMANOWEJ - w swoim herbie biskupim. Gdy pytałem ks. Biskupa o genezę tego wielkiego umiłowania stron ojczystych, odpowiadał staropolskim przysłowiem: *Gdzie się kto ulągnie, tam ciągnie.* Ten rys osobowości ks. Biskupa wymaga głębszego i szerszego potraktowania, ale już przy innej okazji. Ale jedno nie ulega wątpliwości:

*Czy wyjeżdżał w góry, czy wyjeżdżał za granicę,
zawsze wspominał nasze limanowskie okolice.*



Ks. bp Piotr Longin Bednarczyk (1914-2001)

Był niezłomny w swoich poglądach, ale szanował cudze, był wierny sobie, Kościołowi i stabilny w postawach i sądach. Wykazywał wdzięczne chęci redagując zasłużony dla Kościoła limanowskiego, miasta i regionu kwartalnik Matki Boskiej Bolesnej limanowskiej „Mater Dolorosa”, o którym napisał: *Niech każdy nowy numer „Mater Dolorosa” przynosi chwałę Bogu, powiększa kult Matki Bożej Bolesnej i służy duszom Jej czcicieli*².

W moim prywatnym archiwum rodzinnym zachował się krótki list, adresowany przez ks. Biskupa do mnie, pisany pięknym pismem, czarnym atramentem, na białym papierze, datowany: Tarnów, dnia 3 maja 1993, który zacytuje w całości:

Szanowny i Drogi Panie Doktorze.

To prawda niejednokrotnie potwierdzona: kto dużo wie na jakiś temat, ten potrafi powiedzieć krótko i jasno. Tak było 3 Maja w Limanowej. Koniecznie proszę o tekst do „Mater Dolorosa”. To, co zostało powiedziane, nie może zniknąć ...

Zamierzam przygotować nowe wydanie o kulcie MBB w Limanowej - proszę o współautorstwo.

Za przesłanie życzenia z okazji jubileuszu mojego serdecznie dziękuję.

Oddany
X Piotr Bednarczyk

Przesłałem ów teks ks. Biskupowi, który go w kwartalniku „Mater Dolorosa” opublikował. W homilii, wygłoszonej w czasie nabożeństwa za Ojczyznę, głosił między innymi:

Można mówić o dwóch najnowszych przejawach uznania dla kościoła limanowskiego:

- pierwszy to tytuł bazyliki, o jaki przed dwoma laty postarał się bp Ordynariusz Józef Życiński³. Taki tytuł otrzymują budowle monumentalne.

- drugi to praca doktorska Józefa Szymona Wrońskiego, traktująca właśnie o bazylice limanowskiej, której bardzo oryginalnym i odpowiednim jest motto dobrane do pracy [...]: „Nie tylko miecz i działa bronią Ojczyzny, lecz także arcydzieła”⁴.

Tak, prawdą jest, że nie tylko „miecz i działa bronią Ojczyzny, ale także arcydzieła” architektury i sztuki. Z satysfakcją wzięłem do ręki (później po wygłoszeniu homilii) numer czasopisma wychodzącego w Monachium pt. „Das Munster. Zeitschrift für christliche Kunst und Kunstwissenschaft” (zeszyt 1. 1992. Rok 45). W numerze tym zamieszczony jest artykuł J. Sz. Wrońskiego pt. „Heimatstil und nationale Strömungen in der polnischen Sakralarchitektur zu Beginn des 20. Jahrhunderts” (s. 11-20). Z przyjemnością czyta się tekst artykułu po niemiecku. Czyż to nie jest jakimś zwycięstwem kulturalnym wobec zagranicy - bez „miecza i dział” - że Polaków stać na tego rodzaju dzieło, jakim jest bazylika limanowska? - retorycznie pytał ks. bp Piotr Bednarczyk i dodawał: Kościół wybudowany ku czci M.B. Bolesnej i ku chwale Ojczyzny. „Słowo Wcielone” zamieszkało w murach limanowskiej bazyliki. Oby mogło także mieszkać w naszych sercach⁵.

Po przejściu na zasłużoną emeryturę, rezydując jako Biskup Senior w Limanowej, często wspomagał biskupa ordynariusza, jeżdżąc po diecezji tarnowskiej, udzielając z radością sakramentu bierzmowania młodym Polakom i Polkom. Za trzy lata 23 lutego 2014 r. obchodzić będziemy 100-rocznicę urodzin naszego Drogiego Rodaka - ks. Biskupa Piotra L. Bednarczyka. Dobrze by było, aby nie tylko te trzy aspekty, które tutaj zasygnalizowałem, a więc: Ojczyzna, w tym miasto, Matka Boska Bolesna Limanowska i bazylika limanowska znalazły szerszy rezonans i zostały opracowane pod kątem wkładu ks. Biskupa w te jemu tak bliskie obszary badawcze, znacznie je pod względem merytorycznym wzbogacając, ale również cechy osobowości ks. Biskupa, zasłużonego pedagoga, który w swoim herbie biskupim miał wspaniałe motto: *UT GAUDENS CATECHIZEM*, według którego z radością katechizował i głosił Słowo Boże.

Zacytowałem te kilka oryginalnych zdań ks. Biskupa Bednarczyka po to, by odżyły w nas wspomnienia o tym wielkim humaniście⁶, dzięki któremu imię *Limanowa, kościół lima-*

nowski, a przede wszystkim *Matka Boska Bolesna Limanowska* nabrały właściwego i głębokiego znaczenia. Wracamy do tych oryginalnych tekstów ks. Biskupa, a także tekstów pisanych o Biskupie przez limanowskich autorów (np. Jana Wielka, Jana Urygę i innych), a przekonamy się, kogo mieliśmy swego czasu pośród swoich; Błogosławionego człowieka, który słał imię Limanowej i Matki Boskiej Bolesnej limanowskiej, a nas wspierał, dodawał otuchy, a dziś Cię Księżę Biskupie pokornie prosimy: *Wstawiaj się u Niej - u Matki Boskiej - za nami!*

¹ Jadwiga Wrońska miała lat 14, gdy wiersz na pamiątkę 25-Lecia Sakry Biskupiej ks. dra Piotra Bednarczyka w 1993 r. napisała.

² Redakcja. *Słowo wstępne*. „Mater Dolorosa”. nr I (32): 1993. s. 5.

³ Tu pragnę dodać i podkreślić, że dokumentację na etapie parafialno-sanktuarijnym przygotował ks. prał. Józef Poręba, który położył ogromne zasługi w dziele nadania kościołowi limanowskiemu tytułu: Bazylika Mniejsza.

⁴ Ja [J.Sz. Wj, poproszony przez ks. Prałata, przygotowałem opinię określającą wartości ideowo-artystyczne kościoła limanowskiego.

⁵ Bp Piotr Longin Bednarczyk. *Bazylika limanowska w świetle homilii (w czasie nabożeństwa za Ojczyznę)*, „Mater Dolorosa”. nr I (32): 1993. s. 8.

⁶ O Ks. Biskupie wspominałem w następujących artykułach: J.Sz. Wroński, *Ks. Bp Piotr Bednarczyk jakiego znałem* [Wspomnienia serdeczne], EL, R.IX, nr 87 (wrzesień 2001), Dodatek specjalny, s. 6-7; Tamże. *Ks. bp Piotr Longin Bednarczyk (1914-2001)*. EL, nr 142-143 Lipiec-Sierpień 2006. s. 24-25, 43.



Kolekcja wciąż żywa

Stanisław Ociepka

Kolekcja wizerunków Matki Bożej Królowej Świata, którą kryją krużganki stanowiące część architektury Placu Koronacyjnego Bazyliki Matki Bożej Bolesnej w Limanowej wciąż jest żywa.

Od momentu jej powstania w latach 80-tych do dnia dzisiejszego jest uzupełniana i bogacąca. O tym unikatowym zbiorze, który zachwyca różnorodnością, zarówno wykonania figur z rozmaitych materiałów, jak i u niektórych bogactwem ubiorów tj. szat wyszywanych klejnotami, a u innych – pięknem w swej prostocie, pisała Ilona Machowicz – Jurowicz w artykule: „Wizerunki Pani Świata – w Maryjnych Krużgankach Sanktuarium Limanowskiego” („EL”, nr 166-167 lipiec- sierpień 2008 rok).

Wówczas, na łamach gazety ówczesny proboszcz limanowski ks. prałat Józef Poręba dzielił się swymi wrażeniami, mówiąc: „Wizerunki Maryjne umieszczone w krużgankach to nie tylko osobliwości i unikatowa kolekcja warta odnotowania w przewodnikach turystycznych. Za pośrednictwem cudownych wizerunków Pani Świata pielgrzym ma możliwości skierowania do Maryi prośb, zawierzenia Jej swego życia. Nawet jeśli nie odwiedza sanktuarium oddalonego o setki kilometrów od Limanowej, w którym odbiera Ona cześć”.

Realizują się myśli i słowa ks. prałata Józefa Poręby, bowiem zbiór jest powiększany co roku nie ze względów formalnych, ale z potrzeby serca. W miesiącu lipcu rozmawiałem z jednym z darczyńców, który podarował w 2011 roku nowe wizerunki Matki Bożej jako dar podziękowania za łaski otrzymane od limanowskiej Matki Bożej Bolesnej. Ofiarodawca pragnął jednak pozostać anonimowy na łamach gazety (w rejestrze parafii w celu dokumentacji jest odnotowany). Należy dodać, że są to kolejne figury podarowane przez tego ofiarodawcę do limanowskiej kolekcji.

Są to figury: *Matki Bożej Patronki Europy „Our Lady of Europe” z Gibraltaru, Matki Bożej Zwycięskiej „Maria Bambina-Senglea-Malta” z Malty oraz Matki Bożej Niepokalanej Poczęcia z Singapuru.*

Wizerunki Madonn przywiezione zostały przez podróżujących: zaprzyjaźnioną lekarkę i lekarza weterynarza z Myslenic oraz syna ofiarodawcy.

Dla interesujących się zbiorem limanowian podajemy opis nowych statuetek i równocześnie zachęcamy do ich obejrzenia w krużgankach bazyliki.

Matka Boża Zwycięska,
„Maria Bambina- Senglea”



„Il Bambina”, (z j. włoskiego znaczy *Dziewczynka*), przedstawia Marię w wieku podlotka. Ustrojona jest bogatą i nadzwyczaj ozdobną biżuterią.

Figura znajduje się w kościele pod wezwaniem Matki Bożej Zwycięskiej „Our Lady of Victorie” w Senglea we wschodniej części Malty. Papież Benedykt XV w latach dwudziestych XX wieku podniósł kościół do rangi bazyliki. Na pamiątkę odparcia oblężenia tureckiego w 1565 roku, kult Maryjny jest tam silnie rozwinięty. Od stuleci wierzono, że to właśnie Matka Boża obroniła Maltańczyków przed nawałnicą osmańską.

W roku 1921 figura Matki Bożej Zwycięskiej została ukoronowana złotą koroną.

Matka Boża Patronka Europy,
„Our Lady of Europe”



Figura ma zaledwie około 60 cm. Matka Boża siedzi na bardzo prostym krześle, w prawej ręce trzyma berło z trzema kwiatami symbolizującymi: Wiarę, Miłość, Sprawiedliwość.

Przez wieki nie tylko marynarze, ale i władcy zanosili dary w dowód wierności Marii Matce Europy. Wiele cudów przypisywanych jest tej Cudownej Figurze, opisanych przez historyków i badaczy dziejów Sanktuarium w Gibraltarze. Bogata jest historia Matki Bożej z Gibraltaru, gdzie od 700 lat po dzień dzisiejszy trwa kult Our Lady of Europe razem z patronem Gibraltaru św. Bernardem.

Papież Jan Paweł II, 31 maja 1979 roku zatwierdził Błogosławioną Panią jako główną patronkę diecezji Gibraltaru, a w roku 2002 dokonał w Rzymie poświęcenia Figury i uroczystej koronacji.

Od roku 1979, piąty maja jest poświęcony uroczystości Pani Gibraltaru i połączony jest z obchodami Dnia Europy.

Fotografie: Dariusz Ociepka,
Leopold Kucharczyk

60-lecie egzaminu dojrzałości

5 lipca br. odbyło się spotkanie NASZEJ KLASY absolwentów Liceum Ogólnokształcącego im. Władysława Orkana w Limanowej ANNO DOMINI 1951. Przygotował je, jak zwykle, nasz kolega Mieczysław Sułkowski.

Tak, to już 60 - rocznica tego ważnego wydarzenia w naszym życiu. Jakżeż to dawno, a nam się wydaje, jakby to działo się wczoraj.

Wszystko co było illo tempore złe, poszło w zapomnienie, a pozostały dobre, budujące wspomnienia i tak jest najlepiej.

Na spotkanie przybyło tylko 8 osób, jedni z daleka -z Wałbrzycha, Leska, inni z bliska lub miejscowi. Pozostała nas zaledwie gromadka. Większość odeszła w bezpowrotną drogę, inni ze względu na odległość, słabe zdrowie lub brak osoby towarzyszącej, która by pomogła w trudach podróży, musieli pozostać w domu i czekać na wiadomości od nas.

Wszyscy obecni na spotkaniu mieli wyznaczone zadanie zrelacjonowania jego przebiegu wybranej koleżance lub koleździe, których nie było z nami. W ten sposób mieliśmy wrażenie, jakby nas było więcej, jakby wszyscy myśleli o nas, przeżywali i chociaż duchowo łączyli się z nami.

Po mszy świętej odprawionej przez naszego kolegę ks. Adama Wątrobę w intencji żywych i tych, którzy są już w innym wymiarze, udaliśmy się do restauracji „Siwy Brzeg”, by tam w zacisznym lokum porozmawiać o interesujących nas sprawach, o naszych radościach, małych satysfakcjach, rzeczach budujących i miłych.

W czasie spotkania zadzwonił kolega z Bydgoszczy - Janek Jarosik, pozdrowił nas, wytrwałych Orkanowców, roz-



Jubilaci, od lewej: Stanisław Jeż, Dariusz Sroka, Wiktoria Kołodziejczyk-Kuchniarczyk, ks. Adam Wątroba, Waleria Bulanda-Milewska, Jan Dudek, Mieczysław Sułkowski, Zofia Wójtowicz-Wiśniewska.

mawiał kolejno z nami, wnosząc wiele humoru i radości. Odczytał nawet okolicznościowe, wierszowane życzenia.

Potem zapoznaliśmy się z listami od nieobecnych, od tych, którzy przebywają „Za Wielką wodą” (kol. Maria Czyżewska i Apolinary Lach). Atmosfera była wspaniała. Podsumowaliśmy miniony czas, kawał ludzkiej historii, bo 60 lat w życiu człowieka to ogromnie dużo. Przez nasze życie przetoczyły się różne epoki: dzieciństwo naznaczone wojną, powojenne dorastanie w trudnym okresie, radość z tego, że możemy zdobywać wykształcenie średnie i wyższe najczęściej w bardzo skromnych warunkach. Potem praca tam, gdzie rzucił los - wspólne budowanie polskiej rzeczywistości z wyrzeczeniami, bez oglądania się na zyski, ale z nadzieją, że jeszcze trochę wspólnego wysiłku i będzie lepiej.

Z kolei przytłoczył nas totalitaryzm, którego końca nie było widać. Po długim okresie nadeszły wreszcie kolejne zmiany niosące nadzieje, ale wtedy kończył się już „nasz czas”. Przechodziliśmy na emeryturę, wybierając z reguły jakąś dziedzinę, którą mieliśmy zamiar się zająć i poważnie zajmujemy się do dzisiaj.

Nie ma wśród nas „Orkanowców” ludzi przegranych, ani takich których należałoby się wstydzić. Wielu zajmowało wysokie stanowiska, sprawowało liczące się funkcje, ale zawsze pozostali ludźmi honoru, sprawiedliwymi i odpowiedzialnymi.

Każdy człowiek ma 3 zdrowia: psychiczne, fizyczne i społeczne. My, mimo bagażu lat możemy na pewno poszczycić się tym pierwszym - psychicznym.

Nasza koleżanka z Leska przyjechała na spotkanie w towarzystwie córki, która odwiedziła matkę po 20-letnim pobycie w USA. Była zachwycona naszą kondycją, pogodą ducha, wigorem, planami i marzeniami, które mimo wieku nie odleciały do ciepłych krajów. Człowiek bowiem dotąd jest coś wart, dokąd ma marzenia na miarę możliwości i stara się je realizować. Obiecała opowiedzieć o tym za Oceanem.

Żegnając się, postanowiliśmy znów spotkać się za rok w Limanowej w drugi wtorek lipca, by kontynuować tradycję, a przez dzielący nas od tej daty czas pozostawać w kontakcie telefonicznym lub listowym.

Zofia Wiśniewska





Więź, która trwa od 54 lat

Spotkanie kapłanów z rocznika 1957 w Sowlinach

Wiernych, uczestniczących we Mszy Świętej w sobotę 2 lipca br. w kościele pw. św. Stanisława Kostki w Sowlinach mógł poruszyć niezwykle widok; ołtarz otoczony przez 16 dostojnych kapłanów, w sędziwym wieku, ale wciąż młodych duchem. Tu spotkali się księża przyjaciele z rocznika ks. prałata Jana Bukowca – emerytowanego proboszcza, budowniczego sowlińskiego kościoła, którzy 54 lata temu przyjęli wspólnie święcenia kapłańskie. Koncelebrze Mszy Świętej przewodniczył ks. bp Władysław Bobowski.

Co roku, od momentu opuszczenia seminarium księża przybywają do wybranego miejsca, aby wspólnie dziękować za dar kapłaństwa, odnawiać przyrzeczenia, a także pobyc z sobą, dzielić swoje radości i troski. Od lat obowiązki organizatora „zjazdów” pełni ks. bp Władysław Bobowski, który przypomina historię spotkań: „Gdy opuszczaliśmy seminarium, jako świeżo wyświęceni księża, postanowiliśmy spotykać się co roku, aby podtrzymywać więź seminaryjną – koleżeńską. Po raz pierwszy takie spotkanie odbyło się po 3 latach, w 1960 roku w Bochni.

Beztruską atmosferę zniweczyło pojawienie się wikarego z informacją o telefonie interwencyjnym z Wydziału ds. Wyznań w Krakowie. Zagrożono proboszczowi, że jeśli nielegalne spotkanie się nie zakończy, nie otrzyma zgody na budowę kościoła.” Uciekaliśmy szybko – wspomina ks. bp W. Bobowski – „Nie zdążyliśmy odprawić wspólnie Mszy Świętej. Potem spotykaliśmy się w różnych miejscach w Polsce, jeden ze zjazdów odbywał się w Szwajcarii, gdzie pracował nasz kolega. Z okazji jubileuszu 50 – lecia kapłaństwa wspólnie odprawiliśmy Mszę św. w tarnowskiej katedrze. Te coroczne zjazdy są okazją, aby wspólnie dziękować Bogu, odnawiać kapłańskie śluby, cieszyć





Malarstwo na szkle



się sobą. W tym roku gościmy w Sowlinach, ze względu na stan zdrowia ks. Jana Bukowca, który nie może podróżować”.

Dostojnych gości przyjął gospodarz parafii ks. Tadeusz Śmierciak. Uczestniczył w koncelebrze Mszy Świętej, zadbał o jej oprawę, obecność Liturgicznej Służby Ołtarza, ugościł kapłanów na plebanii uroczystym obiadem.

Dzień spotkania dostarczył głębokich wzruszeń ks. prałatowi Janowi Bukowcowi, który w przeddzień spotkania powrócił ze szpitala. „To wielka radość dla mnie” - mówi. „Nie byłem pewny, czy jeszcze zobaczę przyjaciół; mój stan zdrowia skłania, abym dziękował Bogu za każdy przeżyty dzień. Jestem bardzo wdzięczny ks. bp. W. Bobowskiemu za organizację spotkania i ks. proboszczowi T. Śmierciakowi, który pełnił rolę gospodarza, a na co dzień troskliwie opiekuje się mną. Tych kilka godzin upłynęło nam na wspomnieniach, poczuliśmy się znów młodzi”. Na pamiątkę spotkania każdy z gości otrzymał Księgę Pamiątkową „Krzyż Bramą w Trzecie Tysiąclecie”, wydawnictwo подарowane przez Ryszarda Kulmę – przewodniczącego SKBK na Miejskiej Górze.

Okoliczności kolejnego spotkania z przyjaciółmi zawierał ks. Jan Bukowiec Matce Bożej. Od 54 lat podąża swą kapłańską drogą, kierowany mottem: „Maryjo, przyjm mnie w opiekę swoją, o Matko Boska, bądź Matką Moją”.

Serdecznie dziękuję księdzu Prałatowi Janowi Bukowcowi oraz JE księdzu Biskupowi Władysławowi Bobowskiemu za podzielenie się refleksjami na temat spotkania.

Tekst: Iłona Machowicz - Jurowicz
Fotografie: Zbigniew Grochot

W miesiącach wakacyjnych po raz kolejny w Muzeum Regionalnym Ziemi Limanowskiej można było oglądać malarstwo na szkle, ks. Stanisława Wojcieszaka. W tej bardzo trudnej i specyficznej dla góralszczyzny technice malarstwa na szkle przeważa tematyka religijna, ukazująca wydarzenia biblijne, przedstawiająca Chrystusa, Matkę Bożą, postacie Świętych Pańskich, scenki rodzajowe, zwłaszcza z życia górali, ich zwyczaje i obrzędy oraz piękne kompozycje kwiatowe. Wiele z scen na obrazach ks. Stanisława Wojcieszaka przedstawiających tradycyjne obyczaje zanika i zostaje zapomniane.

Prace Jego prezentowane były na wielu wystawach indywidualnych i zbiorowych w całej Polsce.

W folderze wystawy dyrektor muzeum, Jan Wielek, przypomina biografię kapłana – artysty.

Ksiądz Stanisław Wojcieszak urodził się w 1951 roku w Słopnicach. Po ukończeniu Liceum Ogólnokształcącego w Limanowej wstąpił do Wyższego Seminarium Duchownego w Tarnowie. Święcenia kapłańskie otrzymał w 1975 roku i był wikariuszem w Tropiu, proboszczem w Przecławiu oraz w Ochotnicy Dolnej. Obecnie jest rezydentem w Limanowej.

Zamiłowany w swojej rodzinnej miejscowości Słopnicach napisał dwutomową monografię „Słopnice. Dzieje wsi i parafii”. Opracował też i wydał kazania ks. Józefa Tischnera wygłoszone w Ochotnicy zatytułowane „Wielka legenda gór. Ks. Tischner do Ochotniczan i nie tylko”. Pierwsze swoje obrazy na szkle namalował w 2001 roku. Od tego czasu powstało ich już ponad 200. Na wystawie w limanowskim muzeum można było obejrzeć 140 prac.

Tekst: Stanisław Ociepka
Fotografie: Dariusz Ociepka

Kolorowe reprodukcje na stronie 32

„Ulica 24” na Rynku

Sławek Łużny

Dzięki zaangażowaniu i współpracy Limanowskiego Domu Kultury z Jerzym Zoniem - dyrektorem krakowskiego Teatru KTO - tegoroczna edycja krakowskiego Międzynarodowego Festiwalu Teatrów Ulicznych dotarła do Limanowej. 9 lipca na rynku zaprezentowały się cztery zagraniczne grupy teatralne.



Jerzy Zoń (w okularach), dyrektor krakowskiego Teatru KTO na limanowskim rynku.

Krakowski Międzynarodowy Festiwal Teatrów Ulicznych to drugi pod względem wielkości i rozmachu tego typu projekt na naszym kontynencie. Organizowany od roku 1988, jest też jednym z najstarszych festiwali ulicznych w Europie Środkowej. Na stałe już wbił się w kalendarz wakacyjnych wydarzeń kulturalnych pod Wawelem, gdzie gromadzi chyba największą widownię teatralną w Europie. Festiwal prezentuje różne dziedziny sztuki i formy artystycznej wypowiedzi. Jest bezpośrednią i natychmiastową – czasem szokującą – konfrontacją „twórcy”, „tworzywa” i odbiorcy. Organizatorem MFTU jest krakowski Teatr KTO z Jerzym Zoniem – dyrektorem artystycznym całego projektu – na czele. Od kilku lat kolejne edycje Festiwalu mają swój temat przewodni. W 2007 roku był nim *Don Kichot*. 2008 to: *Motywy biblijne w sztuce ulicznej*. 2009 – *Dziecko, Dzieci, Dzieciństwo*, a w roku ubiegłym: *Przestrzenie Teatru – Miasto*. Tegoroczna edycja została włączona w Krajowy Program Kulturalny Polskiej Prezydencji 2011. Nosila tytuł ULICA24 STREET ART, z hasłem przewodnim: *Wiatr ze Wschodu*. Zaproszone

zostały m.in. teatry z Europy Wschodniej (Ukraina, Rosja) i Izraela; ponadto także grupy z Hiszpanii, Holandii, Francji. Co ciekawe i istotne – projekt MFTU zaczyna promieniować także poza Kraków. Rok temu spektakle były prezentowane m.in. w Nowym Sączu i bodajże Myślenicach. W tym roku Festiwal dotarł do Katowic i Limanowej.

W sobotnie arcyupalne popołudnie 9 lipca LDK i Jerzy Zoń zaproponowali i przygotowali dla limanowskiej publiki prezentację czterech różnych form wypowiedzi teatralnej. Jako pierwsi wystąpili Francuzi z Grupy UNE DE PLUS z przedstawieniem pt. *Trzy*. UNE DE PLUS to działający od 2003 roku teatr uliczny w osobach Erica Hervé i Guillaume Chave. Do tej pory stworzyli siedem autorskich przedstawień. To zaprezentowane w Limanowej wymagało na pewno dużego kunsztu. UNE DE PLUS łączy bowiem sztukę lalkarską z teatrem maski, tańcem, pantomimą, popisami na szczudłach. Niesamowite wrażenie robiła choreografia i synchronizacja gry między obydwojema aktorami. Jeden występował na szczudłach. Obydwaj byli odziani w drewniane

uniformy, całe twarze mieli zakryte takimi też hełmami. Ich wspólna gra była tak zsynchronizowana i prowadzona, jakby patrzyli sobie w oczy. To robiło wrażenie. A sam przekaz przedstawienia o czym? O tym jak krucha jest ludzka egzystencja? O miłości niemożliwej? O takim czy innym fatum orbitującym nad każdym z nas? O bezsensie jakiegokolwiek życiowego szamotania się, bo o wszystkim decyduje kto inny; kto inny pociąga za sznurki? A może o nadziei dla nowego istnienia, będącej efektem miłości ludzkiej?

Po świetnych Francuzach swój autorski spektakl *Chez Leandre* zaprezentował komik Leandre Ribera. Było śmiesznie, zabawnie, ale i pouczająco. Leandre od samego początku aktywnie włączył publiczność w treść swego przedstawienia. Już na samym początku zaprezentował swoje talenty „menedżerskie” w przyciąganiu publiczności i jej uwagi do siebie. Próbował nawet zagonić limanowskie gołębie stacjonujące na płycie rynku na swoje przedstawienie. Te jednak okazały się dość odporne. Łatwiej mu poszło z ludźmi. Używając niewątpliwego czaru osobistego, podstępów i tricków, zgromadził naprawdę nieliczne audytorium. I zaczął się z nim zabawiać na całego, zapraszając do swojego domu. Tradycyjna klanada z wykorzystaniem publiki najwyższego lotu.

Leandre zwierza się: *Znam bardzo niewiele odpowiedzi. Chcę być otwarty na niespodzianki. Chcę żyć tutaj, przed publicznością, z publicznością*. Ktoś powiedział, a Leandre się z tym zgadza: *na ulicy jest jak w domu*.

Po jego wyczynach i przerwie, na scenę limanowskiego rynku wkroczył znakomity ukraiński teatr klanów ART-OBSTEL z prawie godzinny Kijowski embargiem na humor. ART-OBSTEL tworzą absolwenci słynnej kijowskiej szkoły sztuki cyrkowej, znani już z występów w wielu krajach Europy. Nie dziwi to, bo fachowcami są naprawdę wysokiego lotu, dość młodymi przy tym. Ich dynamiczny spektakl muzyczny skrzył się feerią cyrkowo-kuglarskich sztuczek i tricków. Świetna gra aktorska i naprawdę duże umiejętności, ciekawe zaangażowanie publiki w swój występ, zaangażowanie własne, fajne pomysły sceniczne i choreograficzne.

Występ Ukraińców przeleciał bardzo szybko. Rzęsiste i długotrwałe oklaski i winszowania ich pożegnały. Ktoś powie – to kuglarze a nie artyści teatralni. Do cyrku dla dzieci się nadają a nie na uliczny festiwal teatralny! Co odrzec? Jerzy Zoń w jednym z wywiadów prasowych, mówi tak (czyż nie adekwatnie?): *Tego typu przedstawienia są śmieszne, to prawda – ale przede wszystkim mądre. Wzbudzają śmiech, a nie rechot, którego pełno w kulturze masowej. Męczą mnie to ciągle wyrównywanie poziomu do dołu. To oglupia społeczeństwo jeszcze bardziej. W tej pogoni za blichtrzem wszyscy łapią rzeczy najłatwiejsze – a żeby społeczeństwo mogło się rozwijać, potrzebujemy elit, a nie pazernych prostaków. A w edukacji i wychowaniu rola teatru ulicznego jest wręcz nieoceniona.*

Po kijowskich klaunach nastąpiła kilkudziesięciminutowa przerwa. Słońce zaczęło znikać za horyzontem, upał zelżał nieco. Ostatnim aktem limanowskiego popołudnia z teatrami ulicznymi był występ muzyczny francusko-polskiej grupy FLONFLONSKI pn. The Flonflonski Swinging Show. Grupa jest festiwalową wersją zespołu LE FLONFLONS z francuskiego Lille. Flonflons odpowiada znaczeniowo określeniom typu pam-pam lub umpa-umpa i odnosi się do muzyki kojarzącej się z dźwiękami akordeonu i popularnymi festynami. Specjalnie dla potrzeb krakowskiego Festiwalu LE FLONFLONS przemieniła się w grupę muzyczną FLONFLONSKI, do której dołączyli polscy muzycy, aby wypracować nową francusko-polską formę muzyki, włącznie z wykonaniem popularnych polskich piosenek zaaranżowanych w stylu flonflons. Występy są efektem przedfestiwalowych warsztatów pod tytułem „Połączenie popularnych francuskich piosenek i muzyki złotych lat (1930-1960)” ze swingującymi polskimi umiejętnościami w Krakowie. Za mikrofonem stała między innymi Jaga Wrońska. W Limanowej dali fajny, bezpretensjonalny koncert standardów francuskiej muzyki.

W Limanowej od jakiegoś czasu coraz poważniej promowana jest sztuka teatralna. Jest tak dzięki współpracy Limanowskiego Domu Kultury oraz dyrektora Jerzego Zonia (mającego swój dom rodzinny w Siekierczynie). Efekty są naprawdę ciekawe i godne uznania.

W marcu mieliśmy Przedwiośnie Małych Form Teatralnych, teraz w lipcu – limanowski przystanek krakowskiego Festiwalu Teatrów Ulicznych. Mamy nadzieję, że nadal będziemy je mieć.

Teatr uliczny jest najbardziej powszechną i demokratyczną formą teatru. Dociera wszędzie – nie trzeba kupować biletu, bo wstęp jest bezpłatny, i ładnie się ubierać. Nie oznacza to jednak, że ta sztuka nie jest ambitna. Stereotypowo myślimy, że twórczość ulicy jest niskich lotów. Sądzimy, że ktoś, kto stoi przebrany pod bazyliką Mariacką albo puszcza bańki mydlane, to artysta ulicy, a to przecież nieprawda! Jako dyrektor festiwalu dbam o to, żeby poziom przedstawień był wysoki, by można się było w wakacje pięknie i szlachetnie bawić. Chociaż od lat mamy najmniejszą dotację ze wszystkich imprez kulturalnych w Krakowie. - mówił Jerzy Zoń w rozmowie z Gazetą Krakowską.

Krakowscy rajcy – wstydźcie się.

Tekst: Sławek Łuźny
Fotografie: Michał Wojtas



Przedstawienie „Trzy” w wykonaniu grupy francuskiej UNE DE PLUS.



Komik Leandre Ribera zaprezentował spektakl „Chez Leandre”



Ukraiński teatr klaunów ART-OBSTEL.

Reportaż fotograficzny na stronie 33

Radość śpiewania w Chorwacji oraz

Podczas tegorocznych wakacji limanowski Chór Mieszany CANTICUM IUBILAEUM przebywał przez kilka dni w Chorwacji oraz w Bośni i Hercegowinie. Wczesnym rankiem 7 lipca chór wyruszył w podróż, którą poprzedziła msza św. celebrowana o godzinie 2³⁰ (!) w limanowskiej bazylice przez ks. Łukasza Żurka i ks. Rafała Głowczyka – opiekunów chóru na czas wyjazdu.

Legenda o powstaniu Chorwacji mówi, że kiedy Pan Bóg stworzył świat, wezwał ludzi do siebie, by podzielić pośród nich ziemię. Kiedy to uczynił okazało się, że jeden naród nie dostał ziemi. Byli to Chorwaci. Zadumał się Pan Bóg, bo nie miał im co dać. No, ale nie byłby Bogiem, gdyby czegoś nie wymyślił i po namyśle rzekł: „Wprawdzie wszystko już rozdałem i nie mam Wam co dać, dam Wam więc kawałek ładnej ziemi u wybrzeża Adriatyku, który sobie zostawiłem”. I tym to sposobem Chorwaci stali się właścicielami jednego z najładniejszych skrawków na ziemi... Właśnie na tej ziemi chór mógł zaśpiewać i podziwiać piękno jej zakątków. Chórzyści mogli cieszyć się pięknymi widokami i poznać „udane dzieło Pana Boga”.

Swoją podróż chór rozpoczął w stolicy Chorwacji w Zagrzebiu, gdzie zwiedził neogotycką katedrę, kościół św. Marka oraz wiele innych miejsc w mieście. Również tam, koncertami rozpoczęła swoją muzyczną podróż. Piękno śpiewu limanowskiego chóru przyciągało rzesze turystów z całego świata, którzy wrzuceni gratulowali występu. Kolejnym punktem podróży było zwiedzanie Parku Narodowego Jezior Plitwickich, gdzie u „stóp” jednego z wodospadów chór wykonał spontaniczny koncert dla wielu turystów, którzy nie tylko fotografowali i nagrywali występy, ale także burliwie oklaskiwali. Kolejnego dnia Chór Mieszany CANTICUM IUBILAEUM pod dyktando Marka Michalika odwiedził piękny Dubrovnik – miasto wpisane na listę Światowego Dziedzictwa Kultury UNESCO. Zespół miał możliwość koncertować tam dla wielu słuchaczy w Katedrze Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny oraz w Pałacu Rektorów. Najważniejszym punktem podróży była wizyta w Medjugorje – w miejscu Obja-



Przy Sanktuarium w Medjugorje.

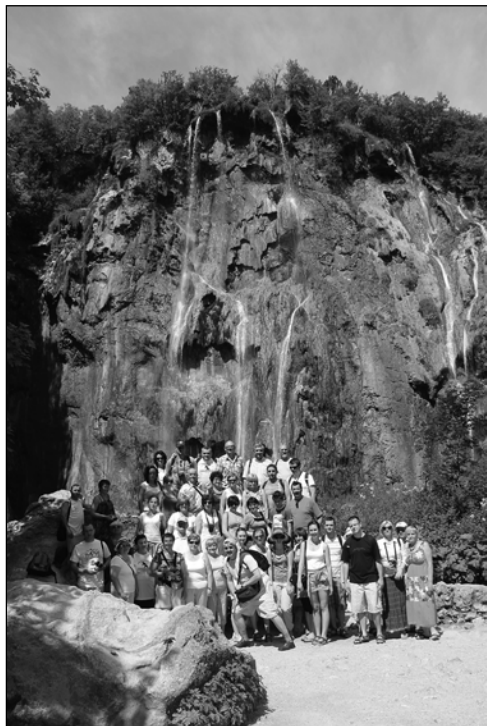


Koncert dla turystów nad Adriatykiem.

wień Maryjnych w Bośni i Hercegowinie. Chór Mieszany z Limanowej wystąpił podczas mszy św. dla Polaków w tymże Sanktuarium, spotykając tam przypadkowo, zachwyconych krajan z Limanowej. Wielu rodaków – turystów i pielgrzymów z radością wysłuchało podniosłego hymnu „Gaude Mater Polonia”, rozpoczynającego liturgię. Wielkim przeżyciem dla

zespołu była możliwość zaśpiewania dla Matki Boskiej nieopodal miejsca objawień. Tam ze wzruszeniem „popłynęło” „Ave Maria”, a w samym miejscu objawień była tylko przenikliwa cisza i modlitwa... Grupa mogła zobaczyć na terenie Hercegowiny wodospad Kravica, gdzie chórzyści koncertowali i zażywali kąpieli. W Splicie w pięknym chorwackim

az w Bośni i Hercegowinie



Powyżej: Jeziora Plitwickie.

Poniżej: W Splicie.



mieście, zespół koncertował w Pałacu Dioklecjana w Złotej Bramie, a także w Perystycku pałacu, gdzie różni artyści prezentują swoje muzyczne osiągnięcia. Zespół otrzymał tam ogromne brawa, dzielnie konkurując z miejscowymi muzykami, wykonującymi muzykę dalmacką. Warto nadmienić, że grupy turystów z Japonii, Niemiec, Hiszpanii czy Włoch, chętniej chciały kupować płyty CD limanowskiego chóru, (których nie



VII Letnie Koncerty w Dobrej

zabrali!) niż rodowitych muzyków z Chorwacji. CANTICUM IUBILAEUM odwiedził także piękny Park Narodowy Krka. Ostatnie dni pobytu w Chorwacji zespół spędził na Riwierze Makarskiej w miejscowości Baška Voda, gdzie koncertował podczas mszy św. w Kościele św. Mikołaja. Odbyły się także spontaniczne koncerty na plaży u brzegów Adriatyku. Limanowscy śpiewacy koncertowali także w pięknym Sanktuarium w Verpic, zwanym także chorwackim Lourdes.

Nie da opisać się wszystkich wrażeń, wspomnień, których doświadczył zespół. Wszystko to na długo pozostaje w pamięci. Wyjazd mógł się odbyć, przede wszystkim dzięki samym chórzystom, którzy pokrywali wszelkie koszty, a także sponsorom w niewielki sposób dofinansującym wyjazd. Zespół po powrocie zaraz ciężko pracował, aby przygotować koncert, który odbył się 30 lipca w Dobrej w Kościele św. Judy i Szymona Tadeusza z okazji Letnich Koncertów Kameralnych w ramach obchodów 650-lecia istnienia Dobrej. 7 sierpnia chór towarzyszył podczas obchodów 10-tej rocznicy śmierci biskupa Piotra Bednarczyka.

Chór CANTICUM IUBILAEUM istnieje już ponad 13-lat. W czasie tak krótkiego okresu zdobył wiele nagród i wyróżnień, co nie jest najważniejsze. Najważniejsze jest to, że zespół tworzą ludzie z wielką pasją i zapałem do wspólnego muzykowania. Ludzie znajdujący czas na ciężką i mozolną pracę, aby stworzyć chóralską rodzinę. Piękne jest to, że możemy dawać radość słuchaczom, towarzyszyć wiernym w modlitwie poprzez śpiew podczas koncertów, mszy św. czy innych nabożeństw. Ważne jest to, że nasz dorobek i efekty pracy są doceniane i możemy je pokazywać w kraju i za granicą, dumnie mówiąc, że jesteśmy z Polski z Limanowej. Istotne jest to, że radość śpiewania jest nieustannie, silnie w nas. Czyni ciężką pracę łatwiejszą i bardziej przyjemną, co pozwala przezwyciężyć nieraz krzywdzące i fałszywe opinie, przykre słowa czy wręcz zazdrość. Ważne jest to, że poprzez pracę nad naszym warsztatem muzycznym możemy służyć miastu, parafii, by wszystkim przekazywać radość śpiewania....

Tekst: Krzysztof Młynarczyk
Fotografie: Franciszek Natanek
J. Piórkowski

Partyzancki odpust w Szczawie



Rozszumiały się wierzby płaczące, rozplakala się dziewczyna w głos, od łez oczy podniosła błyszczące na żołnierski, na twardego życia los. I dalej płynęła sentymentalna melodia: Nie szumcie wierzby nam, z żalu co serce rwie, nie płacz dziewczyno ma, bo w partyzantce nie jest źle.

Tę piękną partyzancką piosenkę grał i śpiewał góralski zespół z Kamienicy pod kierownictwem Marka Sopoty podczas Mszy św., odprawionej z okazji kolejnego zjazdu żołnierzy Armii Krajowej, który jest Partyzanckim Odpustem.

Piosenka ta wywołała u nielicznych już uczestników tamtych wydarzeń wzruszenie i wspomnienia. Ksiądz Kazimierz Pach, proboszcz z Kamienicy mówił w czasie kazania: „Kiedy trzydzieści lat temu po raz pierwszy uczestniczyłem w waszym Partyzanckim Odpuscie, otoczyła mnie duża grupa mężczyzn tryskających energią, a dziś widzę już was niewielu, mówię więc: *chwala wam bohaterom*”.

Piosenkę tę śpiewali ludzie lasu podczas mrocznych lat okupacji, niemalże na całym obszarze drugiej Rzeczypospolitej Polskiej. Była ona śpiewana jeszcze długo po zakończeniu działań wojennych. Szczególnie mocnym echem odbijała się od gór Gorców i Beskidów, można powiedzieć, że była ona natchnieniem żołnierzy AK i innych oddziałów partyzanckich. W godny sposób upamiętniła wy-

darzenia, jakie rozegrały się na tych leśnych górskich terenach.

Kiedy w 1945 roku ucichły „armaty” wojenne w Gorcach nadal było niespokojnie. Grupa żołnierzy oraz działaczy nie mogła pogodzić się z narzuconym ustrojem. Podjęli zbrojną walkę, płacąc za to najwyższą cenę, często była to śmierć lub wieloletnie więzienie.

Na pamiątkę tych wydarzeń żołnierze weterani postanowili co roku spotykać się, aby uczcić te wydarzenia oraz przekazać całą prawdę następnym pokoleniom Polaków.

Początki partyzanckiego odpustu były bardzo skromne. Narodziły się w Skrzydlniej we wrześniu 1945 roku. To tam odbyło się pierwsze uroczyste nabożeństwo za poległych i pomordowanych ze Skrzydlniej i okolicznych wiosek



w latach wojny. To pierwsze nabożeństwo sprawował były kapelan I baonu, I Pułku Strzelców Podhalańskich AK, ks. Jan Stelmach, pseudonim: „Urban”. Drugie takie nabożeństwo miało miejsce w sierpniu 1946 roku przy ołtarzu polowym na górze Mogielica obok gajówki Andrzeja Floraka, gdzie kiedyś kwaterował sztab I PSP AK oraz dowództwo baonu.

(ciąg dalszy na stronie 25)

W sierpniu minęła 69. rocznica likwidacji limanowskiego getta. Z tej to więc okazji w dwóch różnych artykułach: „Spotkanie w czasie okupacji” oraz „Ostatnia droga limanowskich Żydów, przypominamy wydarzenia, które miały miejsce w 1942 roku i były związane z losami limanowskich Żydów zamieszkujących przez wiele lat w naszym mieście. Później okazać się miało, że był to ich ostatni rok pobytu w Limanowej.

Najbardziej wymowny opis tych wydarzeń ujęty został we wstępie „Okruchów pamięci – Limanowa na starej fotografii”, w części wprowadzającej do rozdziału zatytułowanym „Oblicza tragedii”.

Czytamy tam m.in.:

(...) Czasem jedynym najwymowniejszym śladem tragedii była czyjaś nieobecność. Dotyczy to chyba najmocniej i najpełniej limanowskich Żydów, których słoczono w getcie, a potem wywieziono i wypędzono na ostateczną zagładę.

Zdarzyła się oto rzecz niewyobrażalna: z miasta zniknęła nagle połowa jego mieszkańców: ceniony lekarz, znajomy rabin, właściciel sklepów, w których codziennie robiło się zakupy, sąsiedzi, koleżanki z podwórka. Nie płonęły już szabasowe świece, nie pachniał smakowicie czulent, w sobotnie wieczory nie rozsiewały kadzidlanej woni balsaminki. Zagięły bez wieści zwoje świętej Tory. Zapanowała cisza, martwota i lęk (...)

Przez lata mieszkali obok siebie, a II wojna światowa miała ich rozdzielić. Pomimo trudnych i złożonych sytuacji, jakie istniały w okresie okupacji, jednak nadal spotykali się wspólnie, mieszkańcy Limanowej narodowości polskiej i żydowskiej.

W tym krótkim tekście opisany jest jeden z epizodów takich spotkań, pogłębiany wspólną fotografią, która została wykonana w marcowe przedpołudnie 1942 roku przed starym drewnianym domem (dziś już nieistniejącym) na Lipowym.

Był to ten okres, kiedy jeszcze społeczność żydowska mogła przemieszczać się w ramach miasteczka. Gdy w czerwcu 1942 roku na terenie „Kamieńca” utworzono getto i zgrupowano tam wszystkich Żydów z powiatu limanowskiego, to od tej pory opuszczanie tego terenu przez Żydów było zakazane.

Autorem opisu wydarzenia z 1942 roku, które zostało zarejestrowane na fotografii, jest *Mieczysław Sułkowski* wówczas mieszkaniec Lipowego.

W bieżącym roku wraz z kolegami i koleżankami („Orkanowy” - rocznik 1951) obchodził jubileusz 60. rocznicy matury w Liceum Ogólnokształcącym w Limanowej.

Na fotografii kolejno od strony lewej są: Lajka, Fajga oraz gospodarz domu, siedzą: sąsiadka i gospodyni z pięcioletnią



Spotkania w czasie okupacji

córeczką, stoją: Pajga i Antoni, dalszy sąsiad. Lajka, Fajga, Pajga to Żydówki. Są siostrami. Znają swoją godność. Lajka i Fajga tak się ustawiły, aby nie były widoczne na ich lewych rękawach białe opaski z Gwiazdą Dawida, godłem narodu żydowskiego. Noszenie przez Żydów tego znaku za okupacji było obowiązkowe pod karą śmierci. Pajga zdjęła opaskę i trzyma ją w ręce pod płaszczem.

Powodem spotkania była chęć wysłuchania relacji Antoniego, co mówi radio Londyn o wydarzeniach wojennych. Były tam wiadomości dobre i złe, ale zawsze prawdziwe.

Na to spotkanie, w dowód wdzięczności, Żydówki przyniosły gospodyni kostkę mydła przedwojennego. W sklepach jak twierdziły było mydło o wiele gorsze.

Po wysłuchaniu relacji co mówi Londyn część gości rozeszła się, pozostały Żydówki, które zostały poczęstowane obiadem. Gospodyni podając obiad i mówiąc: „Czym chata bogata” zaznaczyła, że ziemniaki zostały omaszczane masłem, a nie słoniną.

Wspólne zdjęcie wykonał niemiecki żołnierz Herman. Nieraz nagle pojawiał się

u kogoś, tak było i tym razem. Był Serbem z Budziszyna, służył w wojsku Wehrmachtu, które stacjonowało w budynku szkoły w Limanowej.

Rozumiał polską mowę, ale mówił po serbsku. Miał około 40 lat. Był osobą wrażliwą i dyskretną.

Pomagał kilkunastu rodzinom w Limanowej, wymagało to z jego strony wielkiej odwagi. Zbierał m.in. od żołnierzy kolegów nadwyżki chleba i zanosił je do poznaniarki, Jachimowskiej, z przeznaczeniem dla głodnych dzieci. Tygodniowo chleba było 10 - 15 kg. Odbiorcami od Jachimowskiej tego niezwykłego życiodajnego daru były matki z limanowskiego getta.

Na pytanie postawione Hermanowi: skąd Ty o tym wiesz, że tak należy postępować? - odpowiadał: „Matuszka kazali”.

Los sprawił, że przeżył wojnę.

Niestety inny los spotkał opisane Żydówki, które zgromadzone na wiosnę 1942 roku w limanowskim getcie w sierpniu tego samego roku zostały wywiezione i stracone w obozie zagłady w Bełżcu.

Po wojnie Herman wraz z żoną przyjechał do Limanowej i odwiedził polską rodzinę na Lipowym.

Ostatnia droga limanowskich

▶ Przez wiele lat po II wojnie światowej miejsce, gdzie dokonano tak strasznej zbrodni było zapomniane i zaniedbane. Dopiero w 1963 roku wybudowano tam pierwszy pomnik, na którym jednak nie znalazła się informacja, że był to obóz przeznaczony do zagłady Żydów. W latach osiemdziesiątych, na terenie byłego obozu dostawiono tablicę informacyjną, która pokrótce opisywała historię obozu. Zawierała ona jednak wiele błędów i nieścisłości. Bełżec nadal pozostawał jednym z najbardziej zapomnianych obozów zagłady, który powstał dla likwidacji Żydów skupionych w gettach Polski południowo – wschodniej.

Dopiero podpisanie w 1989 r. porozumienia pomiędzy rządem polskim, a Amerykańskim Komitetem Żydowskim zagwarantowało budowę nowego pomnika oraz muzeum. W 1993 roku rozpoczęły się na terenie byłego obozu badania archeologiczne oraz został rozpisany konkurs na formę pomnika, który miał upamiętnić jedną z największych zbrodni w dziejach ludzkości. Wygrał projekt opracowany przez zespół: *Andrzeja Sotygi, Zdzisława Pidek* oraz *Marcina Roszczyka*. Tak opisują artyści swoją koncepcję architektoniczno-rzeź-



Muzeum - Miejsce Pamięci w Bełżcu.



biarską obejmującą cały obszar byłego obozu zagłady, według której został zrealizowany pomysł:

„Najważniejszym elementem kompozycji jest przestrzeń symbolicznej zbiorowej mogiły zawierającej w swych granicach autentyczne miejsca masowych grobów.

W historycznym miejscu bocznicą kolejowej usytuowane jest główne wejście na Cmentarz. Jego elementami są *Rampa* i *budynek muzeum*. Zespół tych elementów od strony miasta stanowi formę muru cmentarnego. Jedynym zejściem z *Rampy* jest *Droga*, która swym poziomem wnikając w łagodny, niepozorny, niczym nie wyróżniający się teren, wprowadza nas w *Szczelinę* ide-

alnie prostą - jak pęknięcie ziemi - tworząc *Szczelinę - Drogę* bez odwrotu. W miejscu przecięcia obwodu mogiły utworzony jest plac *Przekroczenia* granicy *Cmentarza – Mogiły*.

Szczelina – Droga rozcinając ziemię, odkrywa ukryte wzniesienie terenu, odsłania wymiar zbrodni. Poprzez narastającą wysokość ścian przysłaniających niebo, oddaje groźbę jednego z największych grobów świata. Miejscem kulminacyjnym przejścia jest granitowa *Kamienna Ściana*. Jej relief jest zapisem śladów indywidualnej tragedii ofiar. To miejsce zatrzymania i refleksji. Odwracając się, znajdujemy przed sobą *Niszę* z wyrytymi indywidualnymi imionami ofiar.

Żydów



Kolumna Żydów na ulicy Krakowskiej (dziś Jana Pawła II) - fotografia wykonana w 1942 roku przez Grzegorza Jońca.

Z podziemnego placu na lewą i prawą stronę prowadzą schody pozwalające wyjść na zewnątrz. Dalszą drogę wyznacza trakt pieszy *Wzdłuż Żeliwnego Obwodu (Kamiennego Stosu)*. Na jego powierzchni znajduje się kompozycja z nazwami gmin pomordowanych i datami tworzącymi kalendarium zbrodni. Jest również miejsce składania kamieni pamięci i palenia zniczy.

Na terenie wyznaczonym przez *Wielką Mogiłę* zostały zachowane drzewa, które były świadkami wydarzeń. Powierzchnia tego grobu przykryta jest kilkudziesięciocentymetrową warstwą wyjąłowanej ziemi zachowuje pierwotne ukształtowanie terenu. Świadczy to o wyjątkowości tego miejsca i pamięci tej tragedii”.

Prace budowlane trwały w latach 2002-2004. W czerwcu 2004r. nastąpiło uroczyste odsłonięcie pomnika i otwarcie muzeum. Obecnie Muzeum – Miejsce Pamięci w Bełżcu jest oddziałem Państwowego Muzeum na Majdanku.

Obóz w Bełżcu, położony w rejonie Zamościa, gdzie mordowano ludzi natychmiast po przywiezieniu, był zorganizowanym przez nazistów systemem eksterminacji ludności żydowskiej. Do końca 1942 roku w obozie tym zamordowano około 600 000 Żydów najczęściej z byłego polskiego terytorium wschodniej Galicji województw: lwowskiego, lubelskiego, krakowskiego, zdarzały się również transporty z południa i zachodu Europy.

Z Limanowej transport Żydów dotarł do Bełżca 25 sierpnia 1942 roku. Prawdopodobnie miało to związek z likwidacją 18 sierpnia 1942 r. limanowskiego getta, które zostało utworzone 4 czerwca 1942 r. i zlokalizowane na tzw. „Kamieńcu”. W getcie przebywało 2 tys. ludności żydowskiej z miasta i przedwojennego powiatu limanowskiego. W pierwszej fazie likwidacji limanowskiego getta rozstrzelano blisko 400 Żydów na obrzeżach Limanowej (na tzw. Pożarach). Pozostałych Żydów uformowano



► w kolumnę i poprowadzono ulicą Sądecką w kierunku Nowego Sącza. To oni straceni zostali w obozie w Bełżcu.

Oboz w Bełżcu nadal pozostaje słabo poznanym obozem, gdyż nie zachowały się archiwalia i dokumentacja obozowa. Po jego całkowitej likwidacji przez Niemców w czerwcu 1943 r. wybudowano tam gospodarstwo dla volksdeutscha, który miał pilnować terenu byłego obozu. W latach 50. XX wieku na jego terenie wybudowano nawet tartak.

Jedynym ocalałym więźniem uciekinierem z Bełżca był Rudolf Reder, który pracował przy usuwaniu zwłok z komór gazowych i ich grzebaniu w zbiorowych mogiłach. Był on jednym z nielicznych świadków zeznań, które prowadzone były przez Główną Komisję Badania Zbrodni Niemieckich w Polsce. Jego zeznanie o obozie w Bełżcu można przeczytać w opublikowanej przez „Fundację Judaica” książce zatytułowanej „Bełzec”.

Bełzec to gmina wiejska, od roku 1992 ponownie siedziba gminy. Znajduje się na południowy wschód od Tomaszowa Lubelskiego na Zamojszczyźnie. Należy do powiatu tomaszowskiego województwa lubelskiego.

Bełzec leży niemal na środkowej linii terenu dawnej (przedwojennej) Małopolski. Był to więc węzłowy punkt komunikacyjny dróg z zachodu, wschodu i południa. To właśnie dlatego Bełzec został wyznaczony przez Niemców na miejsce zagłady Żydów z Polski południowej.

Budowa obozu rozpoczęła się 1 listopada 1941 roku przez Niemców. Esesmani zażądali wysłania grupy polskich robotników- mieszkańców Bełżca do wykonania pierwszych prac konstrukcyjnych,

stawiając tutaj prymitywne komory gazowe oraz baraki rozbieralnie i magazyny. W tej prymitywnej komorze 17 marca 1942 roku rozpoczęła się zagłada dwóch pierwszych transportów Żydów z Lublina i Lwowa. Do czerwca 1942 r. w tych okrutnych warunkach zamordowano około 80 000 ludzi. W międzyczasie w centralnej części obozu przygotowano większą betonową komorę gazową. W ciągu kilku miesięcy jej funkcjonowania do grudnia 1942 roku zamordowano około 400 tysięcy osób (wiele źródeł podaje większe ilości zamordowanych).

Zarówno pierwsza prymitywna drewniana komora gazowa jak i jej ulepszona betonowa wersja zostały przygotowane w ten sposób, aby swoim wyglądem przypominały łaźnię. Do sufitów zamocowane zostały imitacje natrysków, a napisy znajdujące się przy wejściu informowały, że są to pomieszczenia kąpielowe.

Oboz wyglądał spokojnie: ofiary nie mogły zobaczyć grobów, dołów ani komór gazowych. Wierzyły, że dotarły do „obozu tranzytowego” i esesmani podsycali w nich to przekonanie, mówiąc, że muszą się rozzebrać i iść do łaźni do mycia. Ogrodzenie z drutu kolczastego i uzbrojeni strażnicy czynili ludzi spokojnymi i posłusznymi. Kiedy zamykano drzwi, ofiary stłoczone nadal nie wiedziały, co się dzieje. Nawet jeśli ludzie zaczęli zdawać sobie sprawę, że są w komorze gazowej, było już za późno.

Do komór dochodził z maszynowni gaz spalinowy, którego używano do mordowania. Gaz spalinowy wytwarzano dieslowskim silnikiem ze specjalnym filtrem usuwającym ze spalin woń, dzięki czemu uzyskiwano bezbarwny i bezwonny tlenek węgla, który zabijał ofiary w ciągu 20 minut.



Poza obozem znajdowały się masowe groby. Najpierw wybrani Żydzi chowali ofiary zagazowane, następnie ich rozstrzeliwano.

W listopadzie 1942 roku Niemcy rozpoczęli likwidację obozu. Wydobyte z masowych grobów zwłoki palono, a ich prochy zsypany do rozległych rowów, przykrywając je warstwą ziemi. Palenie zwłok trwało do wiosny 1943 roku, kiedy to oboz ostatecznie zlikwidowano, demontując i burząc jego urządzenia. Cały teren wyrównano i zalesiono, a ostatnich więźniów pracujących przy zacieraniu śladów obozu wysłano do obozu zagłady w Sobiborze.

Po latach zapomnienia, obecnie możemy z godnością oddać cześć i pamięć Żydom pomordowanym w Bełżcu, także i tym z Limanowej.

Wyrażam podziękowanie Leopoldowi Kucharczykowi za pomoc w przygotowaniu artykułu.

**Tekst: Stanisław Ociepka
(w opracowaniu artykułu
korzystano z materiałów
internetowych dotyczących Bełżca)**

**Fotografie z muzeum w Bełżcu:
Leopold Kucharczyk
Fotografie archiwalne:
Grzegorz Joniec**



Partyzancki odpust w Szczawie



Kolejne nabożeństwa w latach 1947- 54 odbywały się przy kaplicy pod Turnią obok drogi Szczawa – Kamienica, następne w Szczawie przy baraku pełniącym czasowo funkcję kościoła.

W 1957 roku ustalono, że uroczystość ta odbywać się będzie co roku w Szczawie w pierwszą niedzielę po 15 sierpnia, jej inicjatorem był Jan Cieślak, który powrócił w tym czasie z więzienia.

O randze tego partyzanckiego odpustu świadczą słowa kardynała Karola Wojtyły, który nie mogąc przyjechać w 1976 roku do Szczawy w liście skierowanym

do uczestników napisał: „Gdy w święto Wniebowzięcia Matki Bożej, dawni żołnierze „Polski Walczącej”, zawsze wierni swoim wartościom, gromadzą się w Szczawie, aby dać wyraz miłości do Polski i Jej Niebieskiej Królowej, przesyłam na ręce księdza proboszcza bardzo serdeczne pozdrowienia dla wszystkich uczestników tej uroczystości”. Także na uroczystość w roku 1978 napisał: „Konieczność wyjazdu do Rzymu w związku ze śmiercią papieża Pawła VI i dalsze obowiązki kardynalskie tłumaczą moją nieobecność. Chcę jednak powiedzieć, że całym sercem jestem z Wami w tym dniu, w którym przychodzicie, aby wspólnie modlić się niejako w samym sercu tych terenów, na których w ciągu straszliwej okupacji hitlerowskiej walczyliście z bronią w rękę za wolność Polski i innych okupowanych terenów. Przyjmijcie od nieobecnego zapewnienie duchowej obecności”.

W trzydziestą rocznicę partyzanckiego odpustu 18 sierpnia 1984 roku przewodniczył uroczystościom prymas Polski ks. kardynał Józef Glemp. Wówczas także nie zapomniał o zgromadzonych byłych metropolita krakowski, który pełnił już posługę papieża Jana Pawła II.

Podczas uroczystości odczytany został Jego list, w którym m.in. napisał: „Byłem tam jednak i jestem obecny w tym roku duchem, dzieląc Wasze uczucia i uczestnicząc w modlitwie. Proszę nieustannie Boga, by ofiara synów i córek narodu silnego wiarą, miłującego wolność



i pokój była ciągle żywa, budziła sumienia i owocowała w życiu współczesnych i przyszłych pokoleń”.

W ubiegłym roku uroczystości odpustowe rozpoczęły się przed pomnikiem Ofiar, upamiętniającym wydarzenia w dniach 10–13 stycznia 1945 roku, kiedy w nierównej walce I batalion dowodzony przez ppor. Jana Lipczewskiego podjął walkę w obronie zgromadzonej w szczawnickim tartaku broni rzutowej z oddziałem niemieckim o sile około 900 żołnierzy.

Tak jest co roku, według stałego scenariusza, gdzie po odczytaniu apelu poległych i pomordowanych oraz okolicznościowych przemówieniach uformowany zostaje pochód i z kolumną pocztów sztandarowych kieruje się do pobliskich kościołów, gdzie odprawiona zostaje Msza św. przy ołtarzu polowym przy murach nowego i starego drewnianego kościoła.

To uroczyste nabożeństwo na wolnym powietrzu w scenerii gór pokrytych lasami, ten urzekający swoją urodą drewniany kościół stwarzają niezapomniany podniosły nastrój i zarazem skłania do głębokiej zadumy.

A drewniana świątynia wybudowana w 1959 roku wprawdzie nie pamięta wojennych wydarzeń, a jednak gdy patrzy się na nią, odnosi się wrażenie, że była świadkiem wszystkiego. Dlaczego? Bo wiem te potężne modrzewiowe kłody, z jakich jest zbudowana, to drzewa, które rosły w tamtych czasach na stokach Gorców i Beskidu Wyspowego i były niemyimi świadkami wojennych wydarzeń, podpowiadają nam o tym ściany kościoła, tylko głosy te, starajmy się zrozumieć.

Tekst: Antoni Mamak

Fotografie: Marta Mamak

W opracowaniu artykułu wykorzystano z informatora jubileuszowego „Szczawa 1607-207”. Fotografie pochodzą z Odpustu w Szczawie z 2010 roku.



Od Niego wszystko się zaczęło

Przepełniony patriotyzmem i miłością do rodzinnych stron, mając 36 lat opuszcza Limanową i wyrusza na I wojnę światową jako żołnierz Cesarstwa Austriackiego, aby po klęsce Austrii walczyć jako Legionista w obronie Lwowa, Przemyśla i Kresów Wschodnich. Jego szlak bojowy naznaczony trudem stoczonych walk, potwornym umęczeniem fizycznym i psychicznym, wyraził w liście do syna 17 listopada 1919 roku, będąc na chwilowym odpoczynku od trudów wojny w Jarosławiu.

W liście tym napisał:

(...) Z okropnej wojny, w której ojciec twój bierze piąty rok czynny udział o głodzie i chłódzie w cierniowych warunkach, po śmierci „Austrii”, szukając zemsty w obrzydłym świecie, dla bardzo bolesnych powodów, gardzi życiem, byleby płaczący Lwów oczyścić z czeredzi hajdamackiej (...)



Jeden z medali Jana Kurtycza „W obronie Kresów Wschodnich”. Obecnie znajduje się w zbiorach Muzeum Parafialnego w Limanowej.



Jan Kurtycz (1878-1925)



Tak wyglądała pierzeja wschodnia limanowskiego rynku w czasie pobytu w Limanowej Jana Kurtycza. Rysunek wykonał w latach pięćdziesiątych XX wieku wnuk Jana Kurtycza.



Maria Winterówna Kurtycz i Jan Kurtycz - fotografia z 1901 roku.



Rodzina Kurtyczów, stoją od lewej: Michalina, Maria, Wiktoria Winter, Maria Kurtyczowa (Wintrówna), Józef Kurtycz. Siedzą od lewej: Anna, Maria Winter (z domu Biedroń), obok Elżbieta i Helena. Fotografia z ok. 1917 roku.

Walka o wolną Polskę to główne życiowe credo Jana Kurtycza, syna Józefa i Julii z domu Sawickiej, który urodził się w roku 1878 w Mościskach, mieście dziś na Ukrainie, położonym w obwodzie lwowskim.

Po sukcesji ziemi na Rusi Halickiej przez Kazimierza Wielkiego w XIV wieku, Mościska były aż do rozbiorów niezmiennie w granicach Rzeczypospolitej. W 1772 roku Mościska zostały zagarnięte w I rozbiorze Polski przez Austrię. W 1880 roku liczyły 4,2 tys. mieszkańców, w tym 50% Żydów, 40% Polaków

i 10% Ukraińców. W II Rzeczypospolitej Mościska były siedzibą powiatu województwa lwowskiego.

Z Mościsk do Limanowej przybywa Jan Kurtycz pod koniec XIX wieku i podejmuje pracę w sądzie jako adiunkt skarbowy. W roku 1901 żeni się z Marią Winterówną (1882 – 1944), siostrą Leopolda Wintera znanego sekretarza sądu grodzkiego w Limanowej.

Jan i Maria mają sześcioro dzieci, pięć córek: *Marię, Michalinę, Elżbietę, Helenę i Annę* oraz jedyne go syna *Józefa*.

Mieszkają w wynajmowanych mieszkaniach. W latach międzywojennych oraz zaraz po wojnie mieszkali w domu Jeleniowskich przy ulicy Waleriana Zubrzyckiego, później Józefa Piłsudskiego, (obecnie Matki Bożej Bolesnej). Pomimo, że dom nie był ich własnością mówiło się w Limanowej, że jest to „Kurtyczówka”.

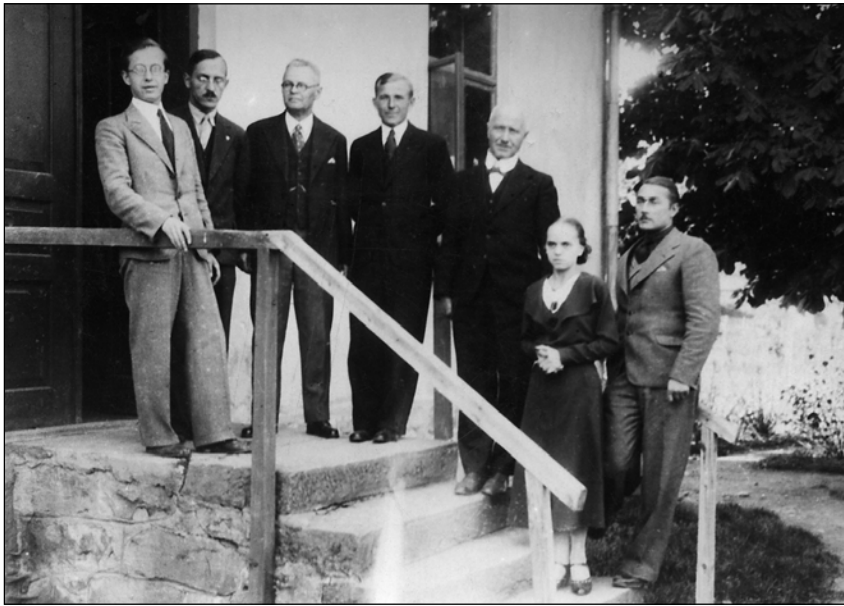
Żona Maria pracowała przez wiele lat jako sekretarka u adwokata Hammerschläga, który posiadał pałacyk przy ulicy Sądeckiej (obecnie siedziba Szkoły Muzycznej).



Kurtyczówny, od lewej: Helena, Teofila Winter, Michalina, Maria, Elżbieta, siedzi Anna.



Rodzina Kurtyczów. Z przodu od lewej: Maria, Maria (z domu Winter), Józef, Anna. Z tyłu od lewej: Elżbieta, Tadeusz Winter, Helena.



Na schodach u adwokata Hammerschläga Anna Kucharczyk (Kurtyczówna).



Na limanowskim rynku Helena Kurtycz (druga z lewej). Fotografia z lat międzywojennych.

Jan w roku 1914 wyrusza na wojnę, pozostawiając w tych trudnych latach liczną rodzinę: 13-letnią Marię, 12-letniego Józefa, 8-letnią Michalinę, 6-letnią Elżbietę, 4-letnią Helenę oraz najmłodszą roczną Annę. W wychowaniu dzieci pomaga córce Marii matka, Maria Wintorowa z domu Biedroń.

W limanowskim rodzinnym gnieździe Jan przebywa około 14 lat. Później przez sześć lat walczy o wolną Polskę, najpierw podczas I wojny światowej, potem w obronie Kresów Wschodnich. Przez cztery lata pozostaje w Gorlicach w służbie państwowej.

Po latach wojennej tułaczki ciężko chory przywieziony zostaje z Gorlic przez żonę Marię do Limanowej, gdzie umiera w 1925 roku na rękach ukochanej żony.

Zostaje pochowany na parafialnym limanowskim cmentarzu w najstarszej jego części na lewo od kaplicy Marsów.

Pozostawia młodą żonę oraz sześciorgo dzieci stęsknionych ojca. Wychowują się w nowo odrodzonej II Rzeczypospolitej w atmosferze pamięci o utraconej najbliższej osobie, która poświęciła prawie połowę rodzinnego życia walce o wolną Polskę. Fakt ten pozostawia ślad w ich psychice, o czym w dalszej części artykułu. Po ojcu pozostały jedynie pamiątki. Są to liczne bojowe medale i odznaczenia, które otrzymał za trud poniesiony w walce z bolszewikami, Ukraińcami w obronie ziem polskich.

Po II wojnie światowej, pamiątki te przechowała w ukryciu jedna z córek ze względu na bezpieczeństwo.

Dopiero w latach dziewięćdziesiątych zostały one przekazane do Muzeum

Parafialnego w Limanowej przez Jego wnuka Leopolda Kucharczyka, w miejsce najgodniejsze u stóp Pani limanowskiej – Matki Bożej Bolesnej, której rodzina Kurtyczów zawdzięcza tak wiele.

Jakie były losy pozostałych z rodziny Kurtyczów?

Wdowa po adiunkcie skarbowym **Maria z Winterów Kurtyczowa** umarła 19 lutego 1944 roku i została pochowana obok męża Jana. Najstarsza córka **Maria** wyszła za mąż za znanego działacza PPS, legionistę, Jerzego Dyrde, i wyjechała z mężem do Bielska Białego.

Z tego małżeństwa urodził się syn Jacek.

Elżbieta (czwarte z kolei dziecko Kurtyczów), wyszła za mąż za Zygmunta Kościesza-Olszewskiego i osiedliła się w Jarosławiu.

Kościesza-Olszewscy mieli dwoje dzieci: Marię, mieszka we Wrocławiu oraz syna Wiesława - kapitan Żeglugi Wielkiej, który zmarł nagle na statku w Szwecji pod koniec lat 80-tych.

Najmłodsza córka **Anna** wyszła za mąż za sekretarza sądu limanowskiego, Tadeusza Kucharczyka.

Mają dwóch synów: z których starszy Andrzej, zmarł w 2000 roku oraz Leopold, kapitan Żeglugi Wielkiej, który po czterdziestu sześciu latach spędzonych na morzu „osiadł na lądzie” w Nowym Sączu. Anna pracowała podobnie jak jej matka, jako sekretarka u adwokata Hammerschläga, a później w limanowskim sądzie.

Zmarła młodo, mając zaledwie trzydzieści dwa lata. Pochowana została w Limanowej w rodzinnym grobie Kurtyczów.

Pozostałe rodzeństwo w kolejności: **Józef** (1902 -1975), **Michalina** (1906 – 1984), **Helena** (1910 – 1988), wymagają dłuższej prezentacji, bowiem były to postaci znane i znaczące w latach powojennych w Limanowej.

Osobowości ich były znacząco różne, ale wszyscy pozostawili dla środowiska limanowskiego wymierne ślady, z których zapewne ojciec Jan miałby satysfakcję.

Józef Kurtycz, nauczyciel, pedagog, społecznik.

Przed II wojną światową kończy Seminarium Nauczycielskie w Starym Sączu i wyjeżdża na Śląsk do pracy w szkolnictwie. W czasie wojny pracuje w Szkole Podstawowej w Pisarzowej, W latach powojennych pełni funkcję inspektora szkolnego kolejno w Bielsku-Białym, a następnie w Limanowej. Dyrektor Szkoły Podstawowej nr 1 w Limanowej, (1959–1963). Od września 1963 roku przeszedł do pracy nauczycielskiej w Liceum Pedagogicznym. Podejmuje wiele działań na rzecz rozwoju powojennej oświaty.

Z pierwszego małżeństwa ma dwoje dzieci: syna Jana i córkę Marię.

Jan to postać nietuzinkowa, wyjątkowo uzdolniony technicznie i artystycznie. Posiadacz trzech fakultetów, wykładowca w latach 1960 – 65 na Uniwersytecie w Hawanie. Z Polski wyjeżdża w roku 1968 do kraju żony, do Meksyku, gdzie do śmierci – 1996, prowadzi działalność edytorską, maluje, wystawia swoje prace w wielu krajach, również w rodzinnym.

Uprawia tzw. performance, jest w tej dziedzinie awangardzista, wyprzedzającym



Fotografie:
archiwum rodziny
Kurtyczów

Podczas służby wojskowej w Białymstoku - 1944/45 rok. Helena Hurtycz siedzi po prawej.

w tym względzie o wiele lat dokonania innych artystów światowego formatu.

Umiera w roku 1996 i jest pochowany w stolicy Meksyku.

Córka Maria, uzdolniona artystycznie, zajmuje się też koronkarstwem, mieszka obecnie w Poznaniu.

Józef Kurtycz umiera 10 lipca 1975 roku. Pochowany został w grobie rodzinnym na parafialnym cmentarzu w Limanowej.

Michalina Julia Kurtycz, była barwną postacią i wybitnie zdolną koronkarką i hafciarką. Wrażliwość jej często była odbierana przez postronnych obserwatorów jako pewien rodzaj dziwactwa.

Od ojca Jana przejęła gorący patriotyzm i oddanie Ojczyźnie.

Prowadziła bardzo oryginalny tryb życia. W latach powojennych, kiedy były bezwzględne zakazy manifestowania przywiązania do tradycji związanych z II Rzeczypospolitą, Michalina te zakazy łamała, wyrażając swój patriotyzm, m. in. przez wystawianie Orła w Koronie w witrynie swojego sklepu, który mieścił się w centralnym miejscu na wschodniej pierzei limanowskiego rynku. Czyniła to z okazji Świąt Narodowych: Konstytucji 3 – Maja oraz Święta Niepodległości 11-Listopada, oficjalnie zakazanych przez ówczesne władze. W tych dniach sklep jej zawsze był zamknięty. Pragnęła w ten sposób wyrazić wyższość emocji i uczuć nad czynnikiem materialny. W skromnym jej

domu wywieszane były duże obrazy Tadeusza Kościuszki, Józefa Poniatowskiego oraz inne obrazy o treści patriotycznej.

Posiadała bogatą kolekcję płyt gramofonowych z okresu międzywojennego jak i powojennego.

Kiedy organizowała skromne wieczory patriotyczne, aby w nastroju pieśni narodowych wymienić poglądy, zaproszonych gości częstowała nalewką „nieśmiertelną” orzechówką, której nigdy sama nie piła (ortodoksyjna abstynentka) oraz podawała placki ziemniaczane i płonąca kawę.

Mając bardzo skromne możliwości finansowe zbierała kartony i drewno do ogrzewania mieszkania, nazywając ten opał „demokratycznym”, jak i ta cała nasza rzeczywistość powojenna.

Chodziła zawsze w trampkach lub tenisówkach, zimą wkładając do nich futerko królicze. Ubierała się najczęściej na czarno.

Jej wyjątkowość polegała m.in. na tym, że uczestniczyła w każdym limanowskim pogrzebie, uważając to za swój obywatelski obowiązek. Co roku pielgrzymowała do Kalwarii.

Latem często można było ją spotkać nad rzeką na potoku Mordarka w rejonie tzw. „tamy pod Marcinkiewiczem”, gdzie pracowała nad swoimi robótkami ręcznymi, korzystając z kąpieli i słońca.

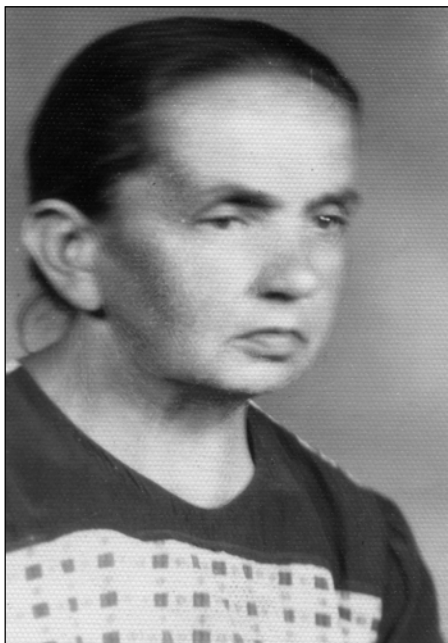
Pomimo trudnych warunków, jakie istniały w rodzinie w okresie międzywojennym, zdała egzamin maturalny.

Szczególną jej pasją było wykonywanie frywolitek, misternych serwetek w przeróżnych kolorach i o specyficznych wzorach. Była w tym niedoścignioną



Helena Kurtycz przed Ośrodkiem Zdrowia przy ul. Szwedzkiej i na limanowskim rynku. Fotografie wykonane w latach czterdziestych XX wieku.





Michalina Kurtycz.

artystką, prace te wzbudzały powszechny podziw zarówno wśród znajomych jak i mieszkańców Limanowej.

Prezentowała swoje prace koronkarskie we wspomnianym już oknie sklepiku, jako swoistego rodzaju ekspozycję, która budziła podziw wśród limanowian spacerujących po rynku.

W tym prywatnym romantycznym małym sklepiku pełnym drobiazgów, bez których święta w latach pięćdziesiątych nie mogłyby istnieć były: arkusiki z główkami aniołków o błękitnych skrzydełkach, cieniutka kolorowa bibuła, a także cynfolia. Wszystko to było niezbędne do przygotowania ozdób choinkowych.

Michalina wykonywała również hafty metodą tzw. krzyżyków z pomocą trudno wtedy osiągalnej kanwy, z zapasów przedwojennych i którą czasem udało się sprowadzić przez przyjaciół z zagranicy.

Wyszywała tym obrusy, narzuty, serwety, komże księży.

Zajmowała się również przygotowaniem na zamówienie sztandarów.

Liczne jej prace dzisiaj znajdują się w wielu prywatnych domach oraz w kościołach w Limanowej i Sowlinach.

Żyjąc w skromnych warunkach, odrzucała jakąkolwiek pomoc, zmarła w 1984 roku w Limanowej i jest pochowana w rodzinnym grobie Kurtyczów na parafialnym limanowskim cmentarzu.

Helena Kurtycz była bezgranicznie oddaną ludziom pielęgniarką, jak sama siebie nazywała „siostrą medyczną”.

To była taka „limanowska” Florence Nightingale (znany powszechnie światowy wzór do naśladowania - angielska pielę-



Precyzyjne ręce Michaliny tworzyły mistyczne frywolitki.

gniarka i działaczka społeczna całkowicie oddana swojej pracy).

Po uzyskaniu małej matury w Nowym Sączu, robi kursy pielęgniarskie w Krakowie i Warszawie, zdobywając kwalifikacje do wykonywania zawodu pielęgniarki. W okresie międzywojennym jako pielęgniarka pracuje kolejno w Stryju i Limanowej, a gdy nie ma pracy w tym zawodzie, chwilowo pracuje w limanowskim sądzie.

W czasie okupacji już jako pielęgniarka podjęła pracę w Mszanie Dolnej, a następnie w roku 1944-45 pełni służbę wojskową w Białymstoku, wówczas jest już doświadczoną pielęgniarką oddelegowaną przez Wojskowy Szpital w Przemyślu.

Zdemobilizowana w listopadzie 1945 powraca do rodzinnej Limanowej.

Należy do tej grupy mieszkańców, która w trudnych powojennych warunkach podejmuje się organizacji Służby Zdrowia w naszym mieście.

Uczestniczy w pracach tworzenia Ośrodka Zdrowia przy ulicy Szwedzkiej, którym w tym czasie kieruje doktor Edward Merkowski. Pełni tam rolę: „księgowej” ośrodka, sekretarki lekarza, a przede wszystkim przełożonej pielęgniarek. Jest również higienistką szkolną. Często wyjeżdżała z doktorem Merkowskim na sympozja, bogając stale swoją wiedzę i praktyczne umiejętności niezbędne w pracy, przy szczególnie skromnym personelu pielęgniarskim, jaki w tych latach był w Limanowej.

Bardzo wrażliwa na cierpienie ludzkie. Wspierała wszystkich pacjentów niezależnie od ich statusu, była zawsze delikatna i uprzejma.

Za oddanie w pracy wielokrotnie ją wyróżniano i nagradzano dyplomami, odznakami: regionalnymi i resortowymi oraz odznaczeniami państwowymi.

Zmarła 5 stycznia 1988 roku w Nowym Sączu.

Spoczęła na limanowskim cmentarzu w rodzinnym grobowcu Kurtyczów, nieopodal budynku dawnego Ośrodka Zdrowia, w którym przez wiele lat udzielała ludziom wsparcia i pomocy.

Szanując pamięć zarówno Michaliny za jej patriotyczną postawę i niezwykle ofiarną służbę Heleny dla lokalnej społeczności, mieszkańcy Limanowej pragnąc wyrazić im za to wdzięczność oraz zapalić lampiony na ich mogiłach, będą mieli niestety trudność, bowiem na płycie rodzinnego grobowca Kurtyczów, w którym te znaczne postacie spoczęły, nie ma żadnej o nich informacji. A szkoda!

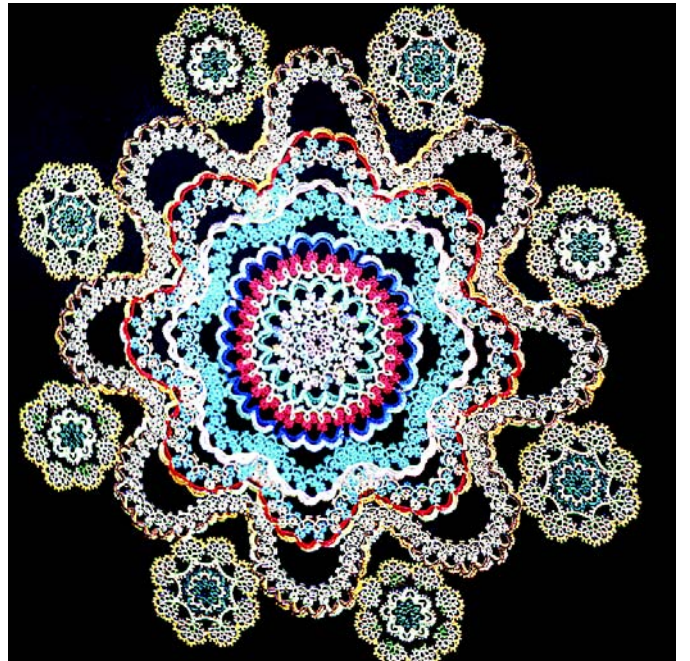
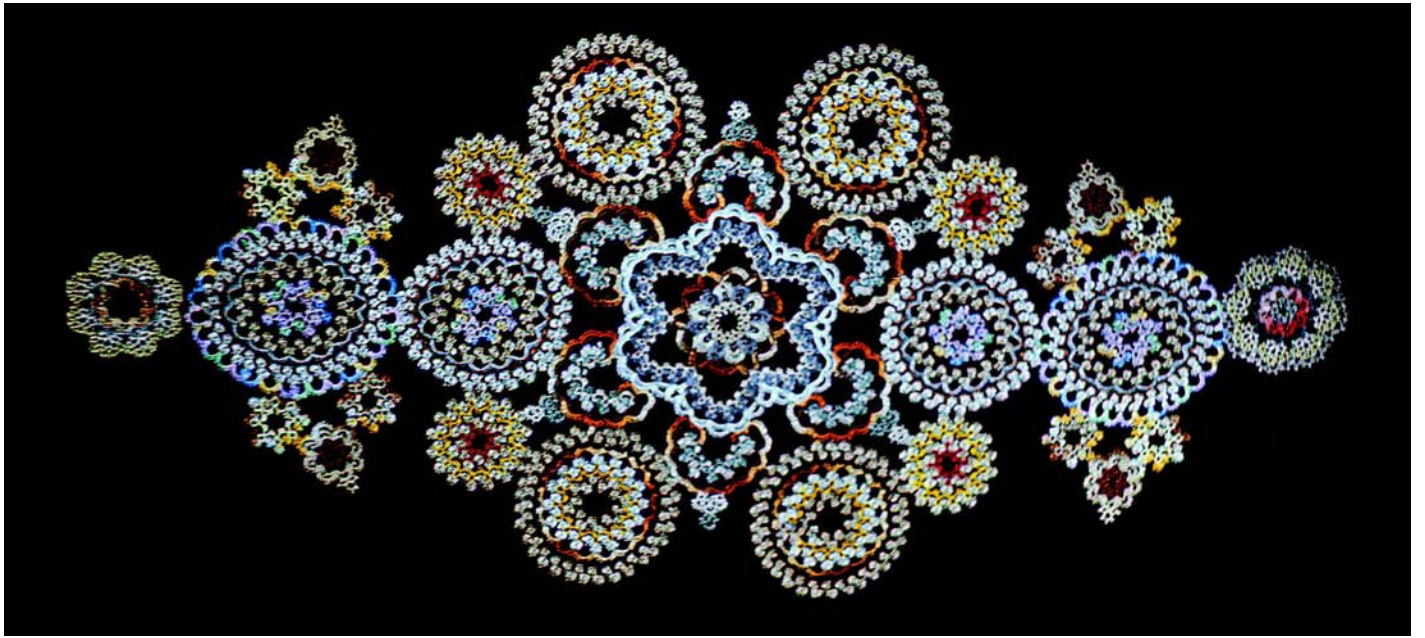
Te okrucy wspomnień, które zostały wydobyte z lat zapomnienia, to tylko przypomnienie losów jednej z limanowskich rodzin.

Odtworzenie tych wydarzeń, ich sens, najlepiej wyraża jeden z akapitów wstępu do albumu „Okrucy pamięci – Limanowa na starej fotografii”.

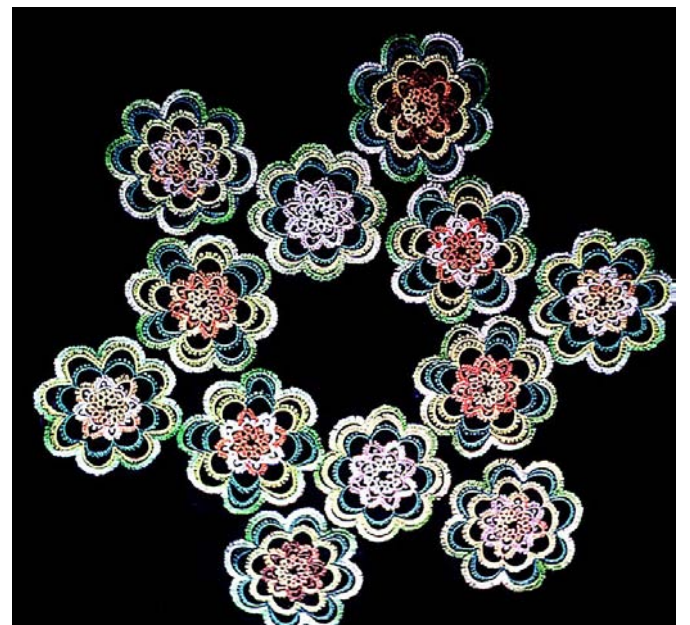
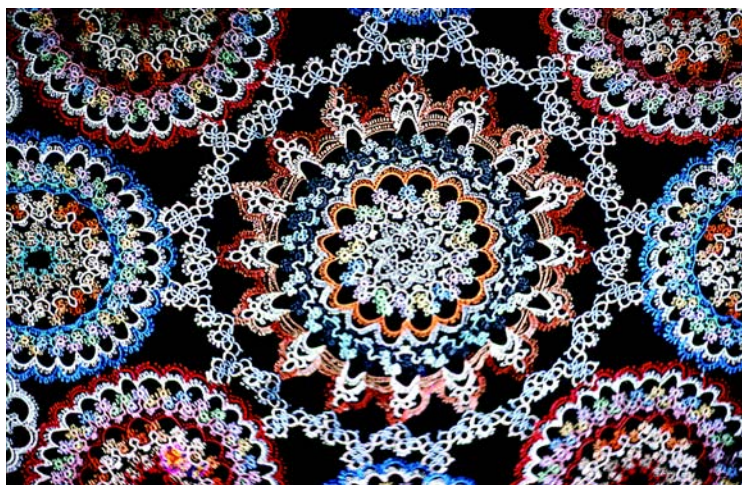
(...)Jakie bujne kwitło tu życie, jakże wspaniałych można było tu spotkać ludzi, jakże barwne pisały się tu życiorysy, jakież pasjonujące zdarzały się tu historie(...)

To nasze dziedzictwo materialne i duchowe, tworzone przez pokolenia przodków. Warto o tym pamiętać.

Wyrażam podziękowanie Leopoldowi Kucharczykowi za przekazanie materiałów związanych z rodziną Kurtyczów oraz weryfikację faktów zawartych w artykule.

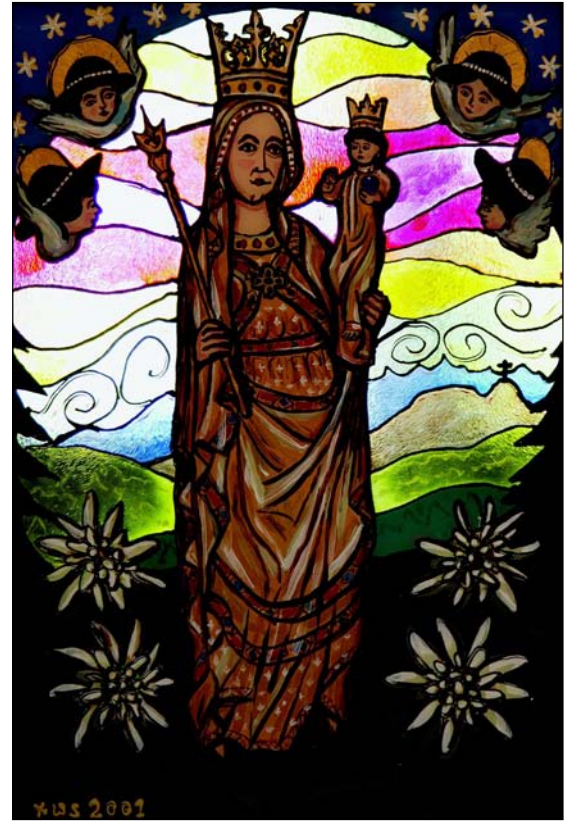


Frywolitki Michaliny Kurtycz

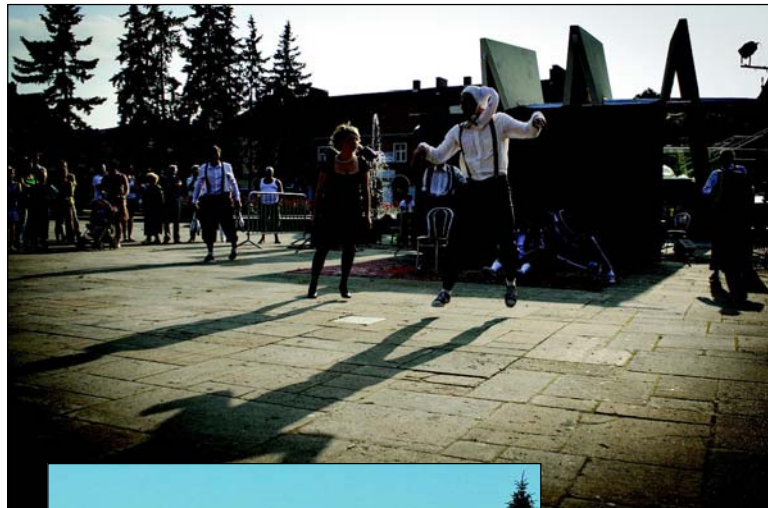
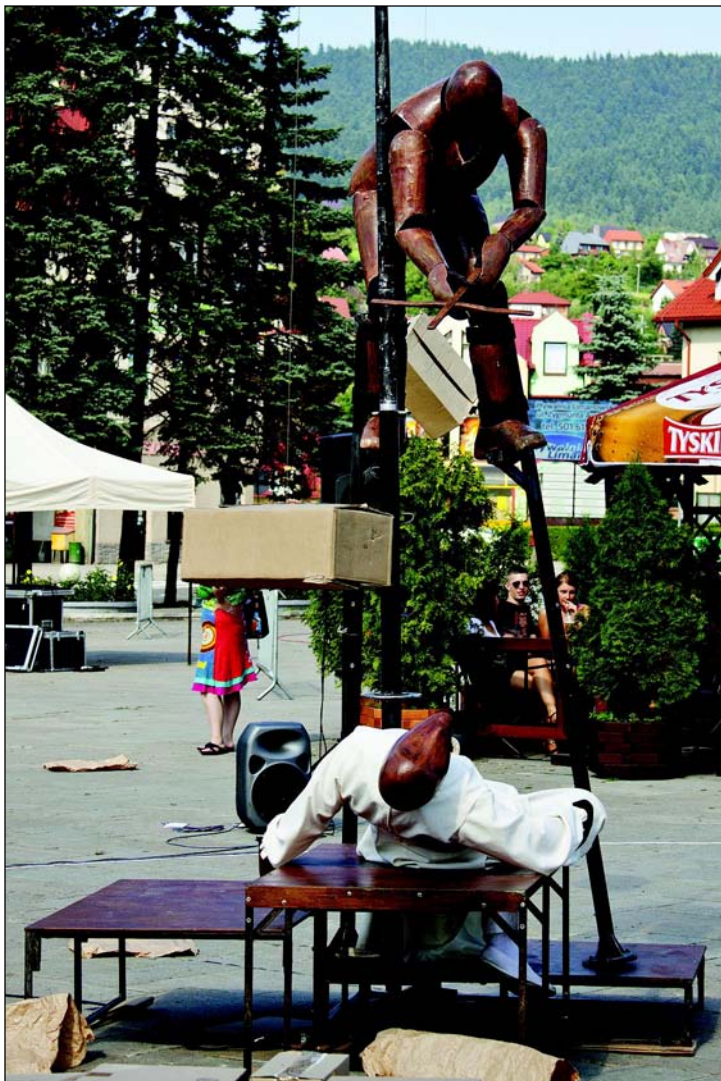


Malarstwo na szkle

Księdza Stanisława Wojcieszaka



„Ulica 24” na rynku w Limanowej



Fotografie:
Michał Wojtas





WOLIMEX

PRZEDSIĘBIORSTWO PRODUKCYJNO-USŁUGOWO-HANDLOWE



KAMIENIOŁOM MĘCINA

Sprzedaż kruszyw Męcina

Oferuje:

- tłużeń
- kliniec
- kamień łamany
- kamień ogrodowy

tel. 18 332 74 20

fax 18 332 74 44

kom. 661 330 797



ZAKŁAD USZLACHTNIANIA KRUSZYW NATURALNYCH W CHARZEWICACH

Sprzedaż kruszyw Charzewice

32-840 Zakliczyn

tel. 14 66 59 193

tel. 14 66 59 194

fax. 14 66 59 158

Oferuje:

- grysy
- piaski
- mieszanki



ZAKŁAD WYROBÓW BETONOWYCH

**Sprzedaż mas
i wyrobów betonowych**

ul. Tarnowska 33

34-600 Limanowa

tel. 18 337 68 62

fax. 18 337 61 59

Oferuje:

- masy betonowe
- kręgi, rury, krawężniki
- korytka ściekowe
- kostka betonowa, obrzeża
- płyty drogowe, płyty Jomb



Główna siedziba firmy: ul. Tarnowska 33, 34-600 Limanowa, tel. 18 337 61 00, fax. 18 337 61 59

www.wolimex.com.pl, e-mail: biuro@wolimex.com.pl

W piątą rocznicę śmierci ks. Kazimierza Pasionka

Józef Król

Na XXXIII Posiadach Muzealnych w Muzeum Regionalnym Ziemi Limanowskiej w 5. rocznicę śmierci ks. Kazimierza Pasionka przedstawiona została Jego postać oraz dorobek twórczy. Włączono również Jego portret, namalowany przez Jadwigę Augustyn do Galerii „Sławnych Limanowian”.



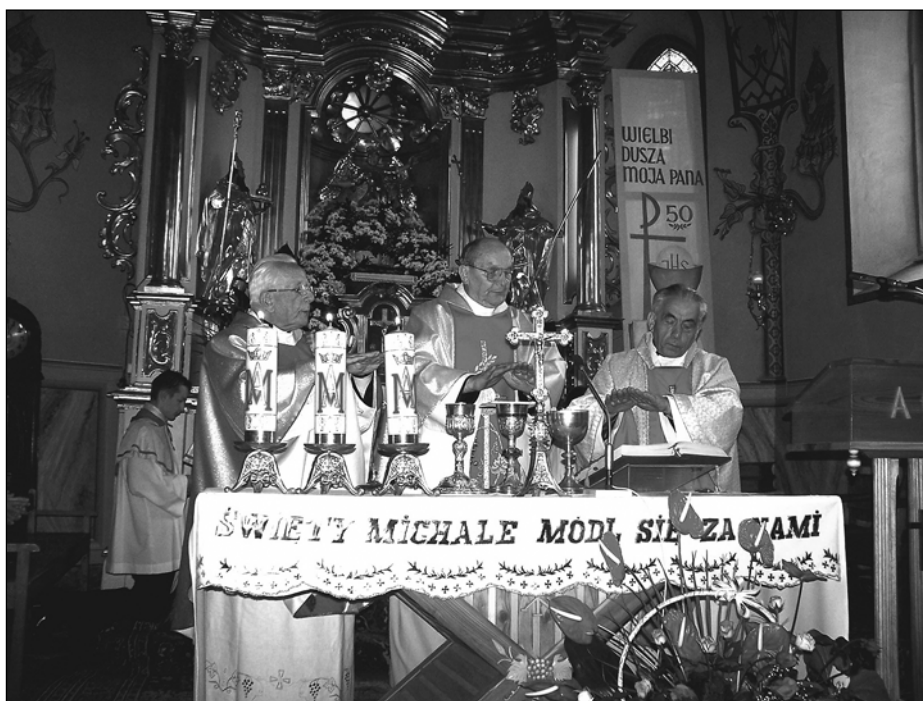
Złoty jubileusz kapłaństwa ks. Kazimierza Pasionka w 2004 roku. Powyżej: Msza św. w katedrze tarnobrzegiej. Obok: w kościele w Ujanowicach.

Urodził się w roku 1930 w Żmiącej, jako najmłodszy z ośmiorga dzieci Michała i Małgorzaty Pasionków. Oprócz rolnictwa, ojciec trudnił się też krawiectwem. Okres dzieciństwa Kazimierza przypadł na czasy bardzo trudne i biedne. We wspomnieniach z okazji 50 lat kapłaństwa (2004 r.) pisze: *Kto dziś mówi, że jest bieda, nie wie nic o biedzie.* Dom rodzinny był pełen modlitw i śpiewu kościelnego. Od 7 roku życia był ministrantem w kościele parafialnym w Ujanowicach. Religijna atmosfera domu rodzinnego zapewne ułatwiała przetrwanie trudnych wojennych czasów, a także miała wpływ na wybór drogi życiowej przyszłego kapłana.

W roku 1955 zmarł ojciec Kazimierza, a sześć lat później jego matka. Troje najstarszego rodzeństwa zmarło zaraz po I wojnie światowej na czerwonkę. Starszy o 20 lat brat Stanisław w roku 1939 poszedł na wojnę i już nie wrócił, nawet nie wiadomo, gdzie spoczywa. Drugi brat, Mikołaj, zginął tragicznie w wypadku budowlanym w 1952 roku w Jeleniej Górze, gdzie pojechał szukać „lepszego chleba”.



Ks. Kazimierz Pasionek przy fortepianie.



Siostra Aniela ukończyła KUL i pracowała jako nauczycielka na Ziemiach Odzyskanych. Po przejściu na emeryturę powróciła do rodzinnego domu w Żmiącej i do dziś mieszka tam z siostrą Pelagią, która wraz z mężem objęła „ojcowiznę”.

(ciąg dalszy na stronie 46)

Z kart historii

Stanisław Ociepka

Początki szkolnictwa średniego w Limanowej



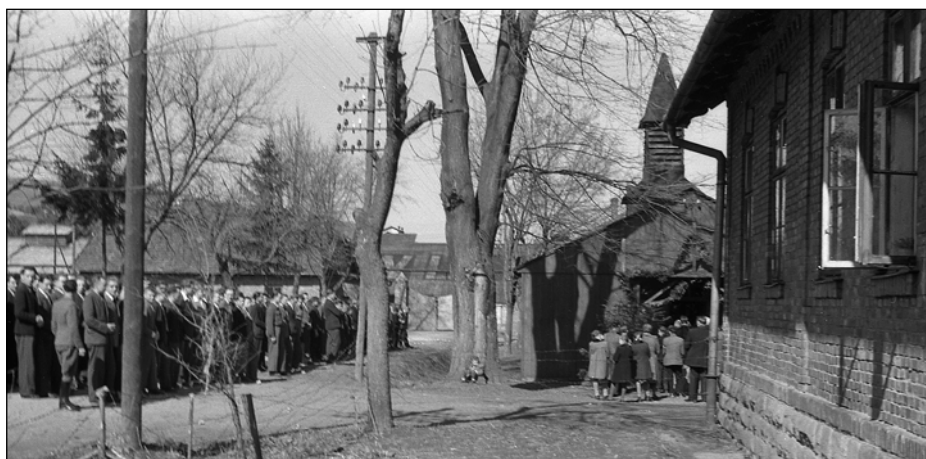
Powyżej: Nad głównym wejściem do budynku widoczna tablica z napisem „Koed. Gimnazjum i Liceum w Limanowej”.

Obok: Budynek szkoły w 1947 roku.

Poniżej: Msza św. w kaplicy szkolnej.

Po wyzwoleniu w styczniu 1945 roku na bazie tajnego nauczania Antoni Bieda i Stanisław Cęglarz tworzą pierwszą szkołę średnią w Limanowej. W skład tej szkoły wchodzi: czteroklasowe gimnazjum i dwuletnie liceum o profilu matematyczno-fizycznym i humanistycznym. Inauguracja pierwszego roku szkolnego nastąpiła 23 lutego 1945 roku. Następnie odbywały się egzaminy kwalifikacyjne do poszczególnych klas gimnazjalnych i licealnych. W efekcie utworzono: w gimnazjum – siedem klas pierwszych, dwie klasy drugie, jedną trzecią, jedną czwartą, w liceum – po jednej klasie pierwszej i drugiej. Zajęcia dydaktyczne rozpoczęły się 26 lutego 1945 roku w budynku Szkoły Podstawowej w Limanowej. Zdewastowany budynek w czasie wojny (stacjonowały tu wojska Wehrmachtu) potrzebował gruntownego remontu, dlatego nowo utworzona szkoła skorzystała chwilowo z pomieszczeń Szkoły Podstawowej w Sowlinach.

Wkrótce staraniem ówczesnego dyrektora szkoły Antoniego Biedy przy wsparciu dyrektora rafinerii nafty inż. Józefa Floriana pozyskano rafineryjne kamienice i po przeprowadzonym remoncie oraz dostosowaniu ich do potrzeb szkolnictwa, 13 czerwca 1945 roku przeniesiono tu ostatecznie naukę. W efekcie przeprowadzonego remontu uzyskano: 25 sal lekcyjnych, salę gimnastyczną, pomieszczenia administracyjne.





Paradę młodzieży i harcerzy przed głównym wejściem do budynku szkoły odbierają goście przybyli na uroczystość.

W pierwszym roku istnienia placówki „przewinęło się” około 650 uczniów. Szkoła ta wówczas miała charakter prywatny.

W kwietniu 1945 roku równoległe z działalnością Liceum rozpoczyna pracę Państwowe Liceum Pedagogiczne, które organizuje Antoni Bieda. Tak więc Antoni Bieda równocześnie kieruje obiema szkołami mieszczącymi się w tym samym budynku i dysponującymi niemal tą samą kadrą pedagogiczną.

We wrześniu 1945 roku Miejskie Gimnazjum i Liceum Koedukacyjne w Limanowej otrzymały nazwę: Powiatowe Koedukacyjne Gimnazjum i Liceum w Limanowej. Tym samym Wydział Powiatowy przejął finansowanie szkoły.

W wyniku zmian w strukturze polskiego szkolnictwa gimnazja przestały istnieć. Klasy pierwsze i drugie gimnazjum zostały wchłonięte przez szkoły podstawowe, a klasy trzecie i czwarte pozostały w strukturze liceum. W ten sposób w 1947 roku licea stały się szkołami czteroletnimi. Zaś w roku szkolnym 1948/49 czteroletnie licea nazwano szkołami Ogólnokształcącymi z klasami VIII-XI.

Ostatecznie 18 marca 1949 roku Ministerstwo Oświaty wydało decyzję o powołaniu w Limanowej dwóch szkół o nazwie: Państwowa Szkoła Ogólnokształcąca Stopnia Licealnego, kierowanie szkołą powierzono Szczepanowi Gajewskiemu oraz Państwowe Liceum Pedagogiczne, którego dyrektorem został Antoni Bieda.

Nauka w tych dwóch szkołach nadal odbywała się w tym samym budynku w Sowlinach do 1963 roku (do czasu gdy „legendarny Ogólniak” przeniesiono do nowo wybudowanego obiektu, w którym funkcjonuje do dziś).

Zamieszczone obok zdjęcia ukazują uroczystość, która odbyła się w 1947 roku przed budynkami: szkoły i internatu „Koedukacyjnego Gimnazjum i Liceum” w Sowlinach (tablica nad drzwiami). Precyzyjną datę tego zapewne znaczącego dla szkoły święta trudno dziś ustalić. Nie jest to jednak rzeczą najważniejszą. Istotną wartością tych archiwalnych fotografii są zatrzymane w kadrze obrazy przedstawiające ludzi związanych w latach powojennych z nowo utworzoną szkołą – jej uczniów i nauczycieli. Zdjęcia ukazują również otoczenie tej części Sowlin w latach czterdziestych XX wieku.



Żeńska drużyna gimnazjum z opiekunką Eugenią Naturską (w mundurze, pierwsza z lewej na górnej fotografii).

Prezentację przebiegu uroczystości rozpoczyna fotografia z Mszy św. odprawionej w drewnianej kaplicy – baraku, która usytuowana była przed główną bramą rafinerii ropy naftowej w Sowlinach.

Staraniem ks. Władysława Rysia, powojennego katechety szkół średnich, ten drewniany poniemiecki barak został przez rafinerię przekazany na potrzebę kaplicy szkolnej. Później okazało się, że kaplica ta dostosowana do praktyk religijnych została 8 grudnia 1945 roku uroczystie poświęcona i oddana dla mieszkańców Sowlin.

Po Mszy św. odbyła się parada uczniów szkół oraz ich drużyn harcerskich. Miejscem parady był plac przed głównym wejściem do budynku Koedukacyjnego Gimnazjum i Liceum w Limanowej.

Paradę odbierali przybyli na uroczystość goście, wśród których można rozpoznać wiele znanych postaci ówczesnej Limanowej m.in. są to: *Leopold Winter* – burmistrz miasta, *Zbigniew Fleszar* – starosta, *Dymitr Łoziński* – naczelnik sądu, *Stanisław Ceglarski* – inspektor oświaty, *Fryderyk Kuczyński* – pełniący funkcję przewodniczącego Miejskiej Komisji Oświaty, *Jerzy Kwieciński* – adwokat oraz prof. Liceum: *Eugenia Naturska*, *Szczepan Gajewski*, *Antoni Bieda*, *Jan Kalisz*.

Jedną z charakterystycznych postaci wśród profesorów była Eugenia Naturska, legendarna nauczycielka języka polskiego, która w pierwszych powojennych latach uczyła w Liceum.

Tak wspomina ją jedna z uczennic: *Pani Profesor była kłębkim nerwów. Pobyt w obozie koncentracyjnym wcale nie do tego przyczynił. Filigranowa figurka, jasny wzrok, młoda buzia i tylko włosy zupełnie białe, nie siwe, lecz zupełnie białe, to trwała pamiątka wojny i okupacyjnych przejść. Poza znerwicowaniem Pani Naturska była bardzo dobrym człowiekiem. Kochała młodzież, żyła dla niej, opiekowała się harcerstwem dopóki miało dawny skautowski kształt. Po 1949 roku nie było to już możliwe.*

To właśnie drużyna Eugenii z Żeńską Drużyną Gimnazjum jest na kolejnych zdjęciach. Pierwsza uczennica od lewej: to drużynowa *Maria Krasuń* (*Kazimierzczak*), w kolejnych rzędach stoją, w pierwszym: *Danuta Korczyńska*, *Anna Kłosko*, *Halina Rosenbeiger*, w drugim: *Józefa Mikołajczyk*, *Teresa Mikula*, *Dorota Czeżótko*, w trzecim: ??, *Stanisława Jarońska*, *Janina Szewczyk*.

Kolejna fotografia: w czwartym: *Danuta Krasuń, ??, Maria Kuczyńska*, w piątym: *Lucja Bieda, Marta Gałuszka, Jadwiga Kolarz*, w szóstym: *Maria Sulkowska, niewidoczna, Antonina Drożdżak*, w siódmym: *??, Bronisława Przechrza, Urszula Markiewicz*.

Prezentowane kolejne fotografie z lat 40-tych XX wieku są znakomitą ilustracją zabudowań tzw. kolonii budynków z okresu przedwojennego, które przeznaczone były dla pracowników rafinerii nafty w Sowlinach, a po II wojnie zmieniły swoje przeznaczenie i stały się mieszkaniami dla ludności Sowlin, szczególnie tych przesiedlonych do Limanowej z Kresów Wschodnich, wśród nich było wielu nauczycieli, którzy podjęli pracę w nowo utworzonych szkołach.

Kilka z tych budynków zostało dostosowanych do innych potrzeb, m.in. dla tworzących się w tym czasie szkół średnich, szpitala itp.

I tak w większości pozostało do czasów dzisiejszych, z istotną uwagą, która odnosi się do krajobrazu (tła) na prezentowanych zdjęciach, gdzie możemy jeszcze zobaczyć zabudowania rafinerii nafty, dziś już niestety nieistniejące. Tylko zachowane fotografie przypominają o istnieniu rafinerii, dzięki której biedna wieś Sowliny na początku XX wieku stała się nowoczesną na owe czasy robotniczą dzielnicą Limanowej. A istniejące tutaj zabudowania pamiętające jeszcze okres galicyjski, w trudnych latach powojennych ułatwiły tworzenie lepszych, nowych warunków życia.

Wyrażam podziękowanie Pani Marii Kazimierzak (Krasuń) za pomoc przy opisaniu fotografii prezentowanych w artykule oraz Pani Lilianne Mamak za udostępnienie archiwalnych fotografii.

Tekst: Stanisław Ociepka
Fotografie: arch. rodziny Mamaków



Młodzież szkolna. W tle zabudowania kolonii i rafinerii nafty w Sowlinach. Lata czterdzieste XX wieku.



Pierwsza po wojnie wizyta duszpasterska

Zofia Wiśniewska

Kiedy okupacja niemiecka dobiegła końca, Polacy odetchnęli z ulgą. Podobnie było z mieszkańcami Limanowej i okolic. Z początku trudno było uwierzyć, że wreszcie wraca „normalność”, że z mroku nie wyjdzie wróg, że nie ma godziny policyjnej, łapanek, wywózki ludzi, którym odebrano życie za polskość, za wyimaginowane przestępstwa, za Nic.

Wszędzie zgliszcza, bieda, zaniedbania, ale ponad wszystko nadzieja, że teraz będzie lepiej, już tylko lepiej, że weźmiemy się do pracy i wspólnie nie oglądając się na własne korzyści wybudujemy nową rzeczywistość.

Zaczęto wspaniale, bo od zapewnienia lepszego startu młodym przez organizację szkół średnich i zawodowych przyjmujących w swoje progi tych, którym wojna odebrała najlepsze lata przeznaczone na naukę. Ówczesny entuzjazm, chęć budowania i wnoszenia nowego porządku, trudno dzisiaj opisać, a nawet sobie wyobrazić.

Zapóźnienia były wszędzie, nawet w działalności religijnej, bo chociaż duszpasterze bardzo się starali, to zakazów przekroczyć się nie dało bez narażenia życia własnego i wiernych.

W czasie okupacji życie religijne skupiało się głównie w kościołach i domach, ale wielu praktyk i obrzędów nie można było stosować.

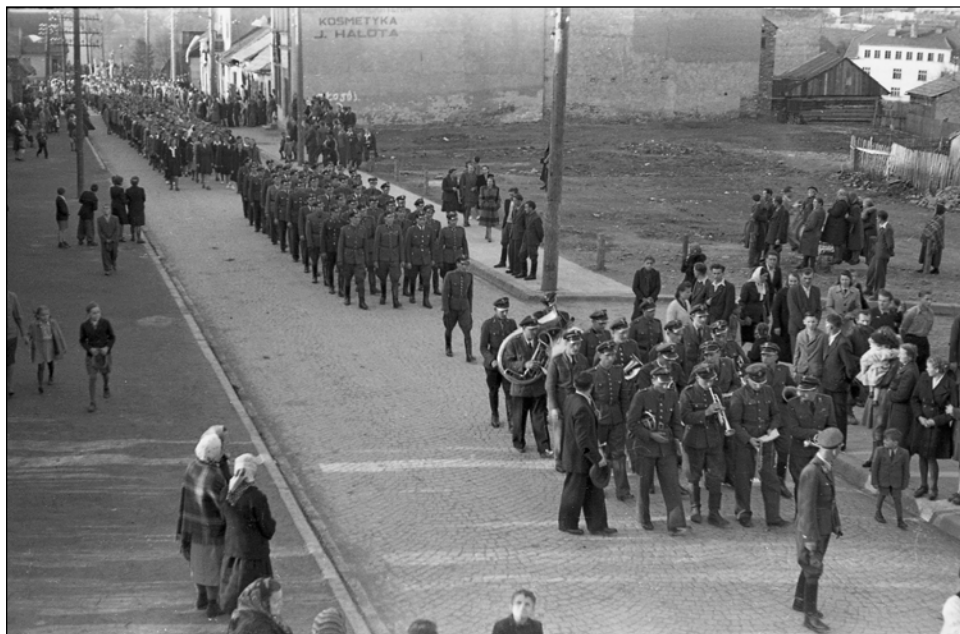
Naszej limanowskiej parafii przez całą wojnę nie mógł oficjalnie odwiedzić zwierzchnik diecezji tarnowskiej. Stąd kilka roczników młodzieży nie przyjęło sakramentu bierzmowania. Dlatego też po unormowaniu się sytuacji politycznej parafia zaczęła się przygotowywać do wizyty duszpasterskiej Jego Eminencji ks. biskupa tarnowskiego.

Ta podniosła dla parafian chwila nastąpiła na początku maja 1947 roku, kiedy przyjechał do Limanowej ks. bp Jan Stepa, by udzielić liczącej blisko 700 osób rzeszy młodzieży sakramentu bierzmowania.

Przyjazd dostojnika poprzedziły rekolekcje dla parafian w limanowskim kościele, a dla młodzieży szkół średnich w kaplicy w Sowlinach.

Młodzież przygotowywała się do sakramentu bierzmowania w szkołach, powtarzając prawdy wiary, historię kościoła i wiele zagadnień związanych z naszym wyznaniem i życiem duchowym.





W sumie pracy było mnóstwo, a szczególnie obciążony był ks. prof. Władysław Ryś, który prowadził naukę religii aż w trzech szkołach średnich, gdzie prawie wszyscy chcieli przystąpić do bierzmowania.

Ponadto ksiądz profesor przygotował występ czterogłosowego chóru z bardzo ambitnym programem. Chór liczył 80 osób. Byli to głównie uczniowie i uczennice wyższych klas szkół średnich, chociaż nie brakowało także młodszych, bo wiadomo, najstarsi po maturach odchodzili, a pewna ciągłość była konieczna.

Zajęcia chóru odbywały się w późnych godzinach popołudniowych w budynku gimnazjum ze względu na dwuzmianowość nauki i to była dodatkowa trudność, bo większość chórzystów mieszkała w Limanowej lub poza nią i musiała dodatkowo przychodzić do szkoły.

Mimo tego absencji prawie nie było. W grę wchodziła ambicja - skoro trzeba, potrafimy.

Przygotowano dekorację świątyni i jej otoczenia, napis powitalny, który miał zawisnąć nad ulicą, a także banderę konną i młodych chłopców w krakuskach i kaftanach, którzy mieli wyjechać po zanego gościa aż do Ujanowic. Konie nie były, co prawda, przedniej rasy, bo lepsze zabrał wróg, brakowało siodła zastąpionych przez kolorowe derki, ale liczyły się chęci i młodzieńcza fantazja.

Dziewczeta zdobiły wymyślnymi kwiatami feretrony i odświeżały krakowskie stroje, by godnie wystąpić na uroczystości.

Zanoszono także modły do Niebios, by zechciały uśmiechnąć się do parafian i podarować im w oczekiwanym dniu błękitne niebo i słońce.

Przygotowania dobiegły końca. Właśnie miano koło Zakładu Fotograficznego Franciszka Fijała wkopać słupy podtrzymujące bramę powitalną, gdy władze polityczne zabroniły wykonania wykopów. Trzeba było wymyślić inny sposób, by obejść zakaz i postawić „na swoim”. Udało się. W dużych kłocach wykonano otwory, wpuszczono w nie słupy, zaklinowano i niemal przed samym przyjazdem Jego Ekscelencji ustawiono bramę.

Młodzież ze wszystkich szkół średnich, nawet tych, które miały siedzibę w centrum miasta, zgromadziła się przed budynkiem „ogólniaka” w Sowlinach i stamtąd zwartym szykiem z orkiestrą wyruszyła na spotkanie z ks. biskupem.

Na ulicy Krakowskiej zgromadziły się tłumy parafian oczekujących gościa. Kiedy przyjechał otoczony banderą, rozpoczęło się powitanie Jego Eminencji przez przejętego ważnością chwili ks. prałata Ludwika Kowalskiego (25 marca 1947 roku, objął uroczyste rządy parafii), w asyście duchownych parafii i dekanatu. Z ramienia władz administracyjnych witał ks. bp. Jana Stepę burmistrz miasta Leopold Winter, a po nim przedstawiciele organizacji i młodzież. W tym czasie chór stojący na schodach prowadzących do zakładu fotograficznego śpiewał pieśń powitalną, a następnie jego członkowie niemal biegiem pospieżyli do kościoła, by zająć miejsce koło organów i włączyć się do dalszych uroczystości.

Zebrana czwórkami młodzież: Liceum Leśnego, Liceum Humanistycznego, Liceum Matematyczno – Fizycznego, Liceum Pedagogicznego, Czteroletniego Gimnazjum Ogólnokształcącego oraz Szkół Podstawowych – klasy najstarsze, ►



proceedziły wraz z licznie zebraną ludnością Limanowej ks. bp. Jana Stepę od zakrętu ulicy Krakowskiej, gdzie nastąpiło przywitanie, aż do kościoła.

Przy wejściu do kościoła księdzka biskupa powitały potężne akordy pieśni: „Ecce Sacerdos Magnus, qui in diebus suis placuit Deo” (Oto Kapłan Wielki, który w dniach swoich spodobał się Bogu), a potem następne pieśni, choć trudne do wykonania. Występ miała zakończyć pieśń maryjna oddająca bicie dzwonów, których wówczas nie było w limanowskim kościele, bo skonfiskował je okupant wojenny.

Pieśń doskonale opracowana przez dyrygenta ks. prof. Władysława Rysia była kłamrą spinającą cały program. I właśnie wówczas, gdy organista wykonał już przygrywkę, a mężczyzna „kalikujący” (wprawiający w ruch miechy) z całej siły nacisnął pedał miecha i wykonał pierwsze wersy dwóch kolejnych stroftek, po których włączył się dopiero cały zespół okazało się, że dziewczyna, która miała śpiewać w solowym śpiewie nie dotarła na chór w kościele. Jak się później okazało, chciała zobaczyć dalszą część powitania. Gdy się zorientowała, że została sama, pobięła do świątyni, ale wejście na chór zostało już zamknięte i nikt nie słyszał pukania.

Konsternację i zaskoczenie zdołał opanovać dyrygent, który nie namyślając się wskazał na mnie stojącą w pierwszym rzędzie i powiedział rozkazująco: - Śpiewaj!

Chyba ten ton spowodował, że ze strachu zaśpiewałam. Miałam wysoki sopran, zaledwie 14 lat i żadnego doświadczenia w solowym śpiewie. Podobno wyszło bardzo dobrze, a ks. Ryś usłyszał specjalne podziękowanie od księdzka biskupa za ciekawość i oryginalny dobór pieśni.

Jeszcze w tym dniu ks. bp Jan Stepa wygłosił serdeczne przemówienie do zebranych, podziękował za oddanie Kościołowi, za wierność Stwórcy, za zawierzenie życia i swoich osobistych spraw patronce naszej parafii Matce Bożej Bolesnej. Wszyscy byli wzruszeni, większość płakała i w tym podniosłym nastroju udali się do domów.

Samo bierzmowanie odbyło się w następny dzień w niedzielę. Młodzież z powagą stawała ze swymi opiekunami i przyjmowała sakrament.

W świątyni zebrał się tłum wiernych, którzy towarzyszyli obrzędowi. Nie musieli przychodzić, ale przyszli, aby dać dowód swoich wewnętrznych uczuć, przekonań, zademonstrować wiarę i przywiązanie do Kościoła.



Po uroczystości religijnej odbyła się krótka ze śpiewem, deklamacjami i przemówieniami młodzieży ceremonia podziękowania ks. biskupowi. Sam ks. bp Jan Stepa zwrócił się do młodzieży mówiąc: *Dzięki Bogu – tyle pięknych kwiatów ocalało od zawieruchy okupacyjnej.*

W godzinach wieczornych odbyło się pożegnanie księdzka biskupa. Znowu przybyli parafianie - starsi, młodzież i dzieci.

Po błogosławieństwie wyszli, by znaleźć się przy trasie odjazdu miłego Gościa i stanęli po dwóch stronach dawnej ulicy Krakowskiej. Machali rękami, chusteczkami, bili brawo, wzruszeni. Potem stali jeszcze długo, rozmawiali i dopiero gdy zmierzch zaczął zapadać, rozeszli się do domów.

Była to już ostatnia tego typu uroczystość religijna z udziałem władz świeckich. Potem było już coraz gorzej. Ograniczenia, przykazy i zakazy „władzy ludowej”, która nie pozwoliła na organizowanie tego typu

uroczystości na ulicach miasta i publiczne okazywanie uczuć religijnych. Nie wolno było procesjom przechodzić nawet do pobliskich kaplic. Najwartościowsze jednostki odwołano ze stanowisk jako „obcy element”.

Następna doniosła uroczystość – poświęcenie dzwonów w 1950 roku odbyła się już tylko w świątyni i na placu przykościelnym.

Niechciany ustrój dyktował własne prawa i wynikające z nich ograniczenia. Wydawało się, że tak już będzie zawsze. Na szczęście po wielu latach stało się inaczej, w myśl zasady – „Nic co jest nam dane, nie trwa wiecznie”.

Fotografie: arch. rodziny Mamaków

W poprzednim numerze „Echa” w artykule o Leopoldzie Winterze w podpisie fotografii wkradł się błąd. Jest: „bp Karol Pękala”, powinno być: „bp Jan Stepa.”

Niezlamani klęską

Stanisław Król



W lasach Pasma Łososińskiego działały szeregi AK. Po prawej: Stanisław Mamak „Rzeka”.

Klęska wrześnieńska była dla narodu tragicznym wydarzeniem, ale nie złamała ducha oporu. Zachowana została ciągłość państwa przez powstanie rządu emigracyjnego i jedynych w swoim rodzaju podziemnych struktur na terenie okupowanego kraju zwanych Polskim Państwem Podziemnym.

Ze względu na wymogi konspiracji poznanie szczegółów jego funkcjonowania również na Ziemi Limanowskiej nie jest rzeczą łatwą. Zawsze istnieje niebezpieczeństwo pominięcia ważnej postaci lub przecenienia roli innej. Dodatkowo sytuację komplikuje to, że po wojnie mówienie o tych sprawach było po prostu niebezpieczne. Wiele kontrowersyjnych sytuacji zamiast wyjaśnić przemilczano. Brak weryfikacji oraz propaganda „nowej władzy” utrwaliły różnego rodzaju oceny i stereotypy. Krzywdy często nie zostały naprawione a poświęcenie nagrodzone. Mimo tych zawiłości warto przyjrzeć się tym tragicznym, ale i bohaterskim czasom. Pomóc w tym mogą prezentowane w tym numerze niezwykle fotografie.

Najważniejszą częścią konspiracji były struktury wojskowe. W początkowym okresie powstawały one spontanicznie, będąc wyrazem chęci dalszej walki. W Limanowej już jesienią 1939 roku zaczęły się samorzutnie tworzyć w kręgach rodzinnych, sąsiedzkich czy koleżeńskich grupy oporu. Udział w tym mieli przede wszystkim żołnierze Baonu Obrony Narodowej. Mimo pierwszych aresztowań już na przełomie 1939/1940

nie rezygnowały z aktywnych działań. Wśród zadań, jakie stanęły przed limanowskim podziemiem w pierwszym okresie jego funkcjonowania był problem przerzutów granicznych do armii polskiej na Zachodzie. Pomocą w tym służył między innymi dwór *Marsów*, mieszkanie *Marii i Romana Wietrznych*, sklep tytoniowy *Mariana Jarońskiego* prowadzony przez *Stanisława Mamaka* i dom *Seidlerów* zwany „Białym Hotelem”.

Ten ostatni był również punktem, w którym koncentrowała się działalność limanowskiej placówki Organizacji Orła Białego-Związku Odwetu. Na rzecz tej organizacji działał także dom i sklep *Elżbiety Zajicowej* oraz restauracja *Teodora Smolawy*. Wśród innych organizacji podejmujących działania w tym okresie należy wymienić Związek Czynu Zbrojnego, w którym działał między innymi artysta malarz *Wincenty Gawron* i *Wanda Kozdrzeń*, Organizację Wojskową z *Romanem Żuk-Skarszewskim* czy Tajną Organizację Wojskową. Funkcję komendanta w niej pełnił *Stanisław Ceglarski*, zaś jego zastępcą był *Teodor Jankowiak*. Czołową rolę odgrywała podobnie jak w całym kraju Służba Zwycięstwu Polski. Działania licznych rozproszonych organizacji próbowano ukierunkować tworząc Związek Walki Zbrojnej. W 1940 roku powstała limanowska placówka tej organizacji pod kryptonimem „Żar”. Komendantem został *Stanisław Biedroń* „*Kordowiecki*”, *Jan Szewczyk* „*Lis*” objął funkcję zastępcy i dowódcy 1. plutonu. ▶



Nierozpoznani członkowie grupy AK działającej w rejonie Limanowej.



Stanisław Mamak „Rzeka”.

► Główne kierunki działalności to wywiad, wyszukiwanie broni, propagowanie ducha oporu i sabotaż. Szczególnie intensywnie był prowadzony na terenie rafinerii nafty w Sowlinach przez grupy *Teodora Jankowiaka* i *Tadeusza Gasidło*. Działalność została przerwana zdradą i aresztowaniami w sierpniu 1942 roku. Mniej więcej w tym samym czasie aresztowany został także komendant placówki „*Kordowiecki*”.

W lutym 1942 roku w wyniku intensywnej akcji scaleniowej powstała największa i najlepiej zorganizowana w Europie podziemna armia - Armia Krajowa. Podstawowym jej zadaniem były przygotowania do powstania. Podejmowanie bezpośredniej walki ograniczono do minimum, nie chcąc narażać ludności cywilnej na represje okupanta. Dla zrozumienia istoty konspiracji w Limanowej należy przypomnieć strukturę tej wojskowej organizacji. Na czele AK stała Komenda Główna, która podlegała Delegaturze i Rządowi RP na uchodźstwie. W terenie funkcjonowały Okręgi, które składały się z Inspektoratów. Kolejnym szczeblem były Obwody, które kierowały działalnością Placówek. Obwód Limanowa stworzono na obszarze powiatu i otrzymał kryptonim „*Lelek*”. Pierwszym dowódcą został w marcu 1940 roku *kpt. Wacław Szyćko Wiktor*. Jego zadaniem było zorganizowanie już dobrze funkcjonującej konspiracji. Ten stosunkowo spokojny okres, ze względu na słabą aktywność Gestapo, przerwało aresztowanie *kpt. Szyćki* w maju 1941 roku. W wyniku

dalszych aresztowań w znacznym stopniu rozbita została limanowska siatka. Kolejne miesiące mimo przejęcia dowództwa obwodu przez *por. Władysława Szczyпка Lech* była okresem stagnacji. Zmieniono kryptonim obwodu na „*Lampa*” a później na „*Leśna*”. Rozpoczętą niełatwą rekonstrukcją obwodu zahamowało aresztowanie szefa inspektoratu w sierpniu 1942 roku.

W tym czasie ciężar organizacyjny z dużymi sukcesami przejęła Polska Organizacja Zbrojna. Jej komendantem w obwodzie limanowskim został *ppor. Władysław Wietrzny Groń*. Jednym z miejsc narad i spotkań był w tym czasie dom jego rodziców w Limanowej przy ulicy Krakowskiej. W październiku 1942 roku *ppor. Groń* otrzymał polecenie przejścia w szeregi AK i przekazanie całego dorobku organizacyjnego miejscowej Komendzie Obwodu AK. Jednocześnie nowym komendantem został *ppor. Stanisław Leszko Olcha*. Cały wysiłek pierwszych miesięcy swojej działalności skierował na organizację obwodu. Aktywna postawa nowej komendy i jej wysoka operatywność przy wykorzystaniu dorobku poprzedników przyniosły efekty. Od kwietnia do września 1943 roku cały obszar został pokryty siecią 9 placówek.

Limanowską noszącą teraz kryptonim „*Browar*” dowodził *Zygmunt Joniec Zyg*. Aktywny od początku wojny stworzył w Jaworznej sprawnie działający zespół, który stał się podstawą do odbudowy placówki po aresztowaniu „*Kordowieckiego*”. Dowodził nią do zakoń-

czenia wojny z krótką przerwą w czasie swojego aresztowania. Na stanowisku zastąpił go wówczas *pchor. Kazimierz Otrył Kort*. Placówka składała się z trzech plutonów „*Sowa*” (*Jan Szewczyk „Mirski”*), „*Dzięcioł*” (*Jan Wróbel „Górski”*), „*Kruk*” (*Stanisław Halota „Czarny”*) oraz wydzielonej sekcji ckmów dowodzonej przez *Stanisława Mamaka Rzekę*. Dodatkowo istniał pluton Służby Ochrony Powstania z *Franciszkiem Tomaszkiem Felek* na czele, oraz drużyna piłki nożnej prowadzona przez *Stanisława Barana Eskimos*. Powstała ona z inicjatywy *Kotlika* i *Juliana Czechtóki* i miała wejść w skład kompanii „*Ligas*”. Służbę sanitarną w placówce pełnił między innymi *Michał Gnoiński* i *Zbigniew Hłyń* z Limanowej, a dostawcą leków i środków opatrunkowych była apteka *Zdzisława* i *Klementyny Bączkowskich*. Dla wykonywania zadań związanych z walką bieżącą powstała latem 1943 roku wydzielona grupa dyspozycyjna, której dowódcą został *Józef Lupa Czarny*. Utworzono także sekcję egzekucyjną z zadaniem likwidacji szeregu konfidentów i zdrajców. Szczególnie ważny w okresie okupacji dla placówki był wywiad. Dzięki dostarczonym informacjom możliwe było unikanie aresztowań, zdobywano broń, dokumenty oraz wiele innych potrzebnych w konspiracji zasobów. W zespole wywiadowczym



Łączniczka Stanisława Joniec „Śmiała”.



Miejsce postoju dowództwa placówki znajdowało się w Jaworznej. Stoją od lewej: dowódca grupy Zygmunt Joniec „Zyg”, Franciszek Grölle „Kosiarz”, ??.

przede wszystkim realizacja umowy scaleniowej z Batalionami Chłopskimi. W Limanowej, w której tradycyjnie silne były wpływy ludowe, chłopski ruch oporu był bardzo znaczący. Straż Chłopska, później Bataliony Chłopskie, Ludowa Straż Bezpieczeństwa oraz tak zwany „Młody Las” gromadziły silnie zaangażowanych ludzi gotowych do walki. Powiat limanowski w strukturze konspiracyjnego ruchu ludowego nosił kryptonimy „Nadleśnictwo”, „Limba” i „Polana”. Współpraca dwóch największych podziemnych organizacji wojskowych na Ziemi Limanowskiej układała się poprawnie, dlatego rozkaz scaleniowy Naczelnego Wodza na tym terenie wprowadzono stosunkowo szybko. Do komendy obwodu ZWZ-AK z BCH w Limanowej weszli *Julian Dutka* „Jaworz”, który objął funkcję II zastępcy komendanta obwodu oraz *Franciszek Grölle* „Kosiarz”, który został inspektorem Wojskowej Służby Ochrony Powstania. Z oddziałów partyzanckich nieobjętych umową scaleniową powstał specjalny oddział „Opór” dowodzony przez *Wojciecha Dębskiego* „Bicz”.

Wzmocniony obwód Limanowa rozpoczął aktywne działania. Prowadzono szkolenia, wypełniano luki w uzbrojeniu i sprzęcie technicznym oraz powoływano związki taktyczne w postaci oddziałów partyzanckich. Jesienią 1943 roku w obwodzie przeprowadzono ogólnopolską akcję „Oktober”, wysyłając ostrzeżenia do Niemców i ich współpracowników. Innym zadaniem noszącym nazwę

„Wrzód” było oczyszczenie terenu z band, które niszczyły autorytet polskich sił zbrojnych w konspiracji. W grudniu komenda obwodu otrzymała dodatkowe zadanie zabezpieczenia planowanych zrzutów lotniczych.

W pierwszych dniach 1944 komendanci obwodów otrzymali opracowane przez sztab zadania na okres powstania. W odniesieniu do obwodu limanowskiego przewidywano działy trzech baonów. W skład jednego z nich miała wchodzić kompania z Limanowej. Przewidywano dwie fazy: pierwsza polegała na rozbiciu załóg niemieckich na terenie własnym, druga wsparcie formacji w rejonie Nowego Sącza. Rozbudowano poszczególne placówki, zwiększając stany liczbowe drużyn, plutonów i kompani. Na początku 1944 roku po raz kolejny zmieniono kryptonim Obwodu na „Perz”, później na „Kąkol”. Nazwa ta dotrwała do jesieni, kiedy to dokonano przejścia z kodów nazwowych na cyfrowe.

Rok 1944 zaznaczył się w obwodzie dużą aktywnością podziemia. W czerwcu odebrano długo oczekiwany pierwszy zrzut lotniczy z Brindisi. Pozwoliło to wypełnić najdotkliwsze luki w uzbrojeniu i przygotować się do planowanej na miesiące letnie akcji „Burza”. Podejmowano coraz odważniejsze akcje, takie jak dywersja na linii kolejowej Limanowa-Nowy Sącz wykonana w styczniu przez oddział placówki „Ligas”. Spotykało się to z ostrą reakcją Niemców i represjami wobec ludności cywilnej.



Drużyna piłki nożnej z Limanowej wchodziła w skład kompanii AK „Ligas”, której dowódcą był piłkarz kadry narodowej Stanisław Baran „Eskimos” - pierwszy z prawej - 1943 rok. Fot. Grzegorz Joniec.

Na początku lipca w związku z aresztowaniem na terenie sądeckiego obwodu szefa Inspektoratu „Niwa” ppłk. Mireckiego przeniesiono kwaterę do Kisielówki w limanowskim obwodzie. Wiązało się to z dodatkowymi zadaniami takimi jak ochrona sztabu, wywiad, apro wizacja i łączność na obszarze całego Inspektoratu.

Plan „Burza” na terenie Inspekto ratu Nowy Sącz rozpoczął się lipcu 1944 roku. Jako pierwsze do akcji ruszyły od działy partyzanckie i garnizonowe limanowskiego obwodu najliczniejsze i najlepiej do akcji bojowych przygotowane. W czasie limanowskiej „Burzy” wyko nano prawie sto napadów i zasadzek, głównie o charakterze rozbrojeniowym. Oprócz zadanych wrogowi strat przynio sły obwodowi spore ilości broni i amuni cji. Wobec sytuacji w kraju porzucono plan powszechnego powstania na rzecz regionalnych operacji bojowych nawią zujących do postępów frontowych Armii Czerwonej. Oddziały AK na krótko przed atakiem wojsk radzieckich plano wały zająć dany region i starać się wy stępować w roli gospodarzy. W celu rea lizacji tych planów w sierpniu 1944 roku powstała Grupa Operacyjna Śląsk Cie szyński w skład której wszedł odtworzo ny 1 Pułk Strzelców Podhalańskich AK. II batalion powstającej jednostki utwo rzono na bazie oddziałów partyzanckich limanowskiego obwodu podobnie jak większość baonu I „Nowy Sącz”. Pod koniec września obwód limanowski po większył się przez przyłączenie się od działów łączkiej partyzantki. Podjęto ści-



ślejszą współpracę z działającą na tym terenie partyzantką radziecką dowo dzoną przez Iwana Zołotara oraz innymi grupami bojowymi.

Akcja „Burza będąca w zasadzie głównym w dziejach AK okresem bez pośrednich walk z siłami wroga została na terenie limanowskim odwołana roz kazem z września 1944 roku. Mimo ogromnego wysiłku organizacyjnego i po święcenia nie zdołano zapobiec utracie suwerenności państwa po wojnie. W styczniu 1945 roku rozwiązano Armię Krajową mimo, że nie o taką Polskę wal czyła. Rozpoczął się kolejny etap pełen dylematów i ludzkich tragedii.

Fotografie: arch. rodziny Mamaków

(dokończenie ze strony 35)



Dom rodzinny ks. K. Pasionka w Żmiącej.

Do roku 1943 Kazimierz ukończył Szkołę Podstawową w Żmiącej. W la tach 1943–45 uczęszczał na tajne na uczanie i zaliczył przed tajną Komisją We ryfikacyjną, klasę VIII i dwie klasy Gim nazjum. W roku 1945 został przyjęty do Małego Seminarium w Tarnowie, gdzie ukończył dalsze dwie klasy Gimnazjum i 2 lata Liceum. Egzamin dojrzałości zdał w roku 1949 i w tym samym roku wstą pił do Wyższego Seminarium Duchow nego w Tarnowie.

W 1949 roku, na pierwszy rok stu diów przyjęto 73 kandydatów, z których czterdziestu doszło do celu i z rąk ks. bp. Karola Pękali otrzymało 9 maja 1954 roku święcenia kapłańskie.

Ksiądz Kazimierz Pasionek już jako alumn ujawniał swoje muzyczne zdolno ści (prowadził chór klerycki). Skąd ten talent? Cała rodzina była bardzo muzykal na. Ksiądz tak to wspomina: *Ojciec szy jąc, ciągle śpiewał. Towarzyszyli mu wszyscy, kto tylko był w domu(...)* Od najstarszego brata Staszka dzieliło mnie 20 lat. On był człowiekiem bar dzo zdolnym, także muzycznie. Grał na skrzypcach i na trąbce. Często nie wy starczało mu samotne muzykowanie. Na mawiał więc mnie do śpiewania. Gdy śpie wałem, on szalał na skrzypcach, nie zwa żając nic na mnie. Jeżeli się nie pomyliłem dostawałem 2 grosze, czasem 5 gr.

W piątą rocznicę śmierci



Ks. K. Pasionek z rodziną w czasie prymicji w maju 1954 roku.

Jeżeli się pomyliłem nie otrzymałem nic. Gdy zarobiłem 50 groszy na odpust to była ogromna frajda.

Swój kapłański i muzyczny życiorys przedstawił następująco:

- święcenia kapłańskie - 9 maja 1954 r.,
- wikariusz w parafii Wojnicz, nauczyciel religii w Szkole Podstawowej w Wielkiej Wsi i w Łoponiu – 1954 - 56 r.,
- studia muzyczne w Instytucie Muzykologii Kościelnej na KUL. Praca magisterska: „Antyfonarz De Sanctis Klarysek starosądeckich” – 1956 – 1960 r.,
- wikariusz w parafii katedralnej w Tarnowie, nauczyciel religii w Szkole im. M. Konopnickiej, potem przy Katedrze – 1960–1962 r.,
- dyrygent Katedralnego Chóru Mieszanego - 1960 – 1980 r.,
- licencjat teologii KUL – 1962 r.,
- mianowany Referentem Kurii Diecezjalnej do spraw muzyki i śpiewu kościelnego w diecezji tarnowskiej – 1962 r.,
- prefekt Seminarium Duchownego - 1962 – 1964 r.,
- wykładowca muzyki i śpiewu kościelnego oraz dyrygent chóru kleryckiego Seminarium Duchownego w Tarnowie -1962 – 1995 r.

W uznaniu zasług dla rozwoju polskiej muzycznej kultury religijnej, otrzymał tytuł honorowego członka Stowarzyszenia Polskich Muzyków Kościelnych.

Wydał kilkanaście zeszytów zawierających pomoce naukowe dla księży i organistów, z których najwięcej wydań miały „Śpiewy międzylekcyjne”. Skomponował ponad dwadzieścia pieśni i utworów, z czego największą popularność zdobyło „Dziękujemy Ci Ojcze nasz” oraz „Msza jubileuszowa”. Pisał również teksty. Opracował kilkadziesiąt śpiewów na chór mieszany oraz chór męski. Przygotował materiały muzyczne dla chórów i orkiestr oraz prowadził śpiew na wielu uroczystościach kościelnych, peregrynacjach, jubileuszach czy koronacjach.

W dziejach Limanowej zapisał się szczególnie w 1966 roku, w czasie pierwszej koronacji limanowskiej Piety. Organizował wtedy całą oprawę muzyczną tej wspaniałej milenijnej uroczystości.

Do końca pracował. W ostatnich latach życia, będąc już na emeryturze, włączył się w administrację Studium Organistowskiego, a także przygotowywał na bieżąco opracowania muzyczne. Zmarł 28 listopada 2006 roku. Pochowany został w rodzinnym grobowcu na cmentarzu parafialnym w Zmiącej.

W czasie kazania pogrzebowego ks. Wiesław Lechowicz, rektor Wyższego Seminarium Duchownego w Tarnowie powiedział m. in.: *Swoją pracę wykonywał bez chęci imponowania i zdobycia poklasku. Jego pokory i prostolinijności nie zmieniły nawet otrzymane z czasem wyróżnienia i odznaczenia. W realizacji swojego powołania był zaangażowany totalnie. Kiedy śpiewał czy dyrygował, to miało się wrażenie, że cały śpiewa i dyryguje – głowa i oczy, ręce i nogi, umysł i serce, wszystko w nim śpiewało i dyrygowało, był jak Dawid tańczący przy Arce Przymierza.*

Muzyka i śpiew to był jego charyzmat – dar otrzymany od Ducha Świętego, to był język, którym się posługiwał po to, by jak najwięcej ludzi zobaczyło Syna Bożego i uwierzyło w Niego.

Tekst: Józef Król

Fotografie: arch. rodziny Pasionków

Zegary mojej młodości

Dziwne były zegary mojego dzieciństwa i młodości. Nie znaczy to, że w domu nie mieliśmy prawdziwego zegara. Był, wisiał na ścianie w izbie, na honorowym miejscu, naprzeciw drzwi do kuchni. Przez uchyloną szparę można było zobaczyć, która jest godzina. Zegar ten bardzo stary, miał na tarczy namalowane rajskie drzewo, a jabłko wiszące na nim miało większe rozmiary niż gałęzie. Uruchamiano go za pomocą naciąganych ciężarków, a długie mosiężne wahadło wprawiało cały mechanizm zegara w ruch. Zegar ten wydzwaniał pięknie kwadransy i godziny. Był dostojnym meblem w naszym rodzinnym domu.

Jednak w moim dzieciństwie i młodości nie takie zegary kierowały czasem, pracą w polu, obejściu i gdziekolwiek byliśmy. To naturalne zjawiska stanowiły wskazówki czasu i one wyznaczały rytm związany z codziennym życiem, w moim rodzinnym mieście Limanowej.

Pierwszym takim porannym zegarem był pociąg (personka), który codziennie o godzinie wpół do szóstej rano, z wyjątkiem niedziel, woził robotników do pracy w warsztatach kolejowych w Nowym Sączu.

Lubiłem nim jeździć jako młody chłopiec na jarmarki do Sącza pohandlować gołębiami. Pociąg ten miał dla mnie tą dobrą stronę, że nie musiałem kupować biletu. Jeździli nim sami kolejarze. Zdarzało się czasem, że sokiści (Służba Ochrony Kolei) urządzali kontrole przy wyjściu z peronu na przystanku w Nowym Sączu. Wtedy należało uciekać na drugą stronę torów.

Drugim takim zegarem, który budził nas punktualnie o godzinie szóstej i regulował ranne zajęcia, był potężny basowy głos syreny rafinerii w Sowlinach. Mama mówiła: Wstawać, bo w rafinerii „buca”! Zaraz po tym słychać było gwizd w bednami w Łososinie Górnej. Za piętnaście siódma i o siódmej rozlegał się przeciągły gwizd w browarze Marsów (Nikt wówczas nie mówił: że to chodzi o zakład owocarni).

Dokładnym miernikiem czasu były dźwięki płynące z kościoła. Codziennie o godzinach: szóstej rano, dwunastej w południe, siódmej wieczorem, dzwony dzwoniły na wieży kościelnej. Gdy dzwoniło na Anioł Pański, chłopcy ściągali czapki baranie, zamożniejsi kapelusze i trwali chwilę w milczeniu i modlitwie.

W maju z wieży kościelnej płynęła melodia pieśni „Chwalcie łąki umajone”, grana na trąbkach przez Mordarskich.

W niedzielę i święta sygnaturka z małej wieży kościoła przed rozpoczęciem każdej Mszy wzywała do świątyni. Wtedy wszyscy zgromadzeni na rynku ruszali gromadnie, a niejedna panna, gdzieś w kącie z pośpiechem wycierała zakurzone nogi i zakładała odświeżone buty.

Charakterystycznym wyznacznikiem czasu mniej więcej co dwie godziny, był wjeżdżający z hukiem na stację kolejową pociąg osobowy z Nowego Sącza i Chabówki prowadzony przez parowóz. Tory wzdłuż nadjeżdżającego pociągu były zatłoczone. Jeszcze pociąg się nie zatrzymał, a już wszyscy pędzili do wagonów, a nawet wskakiwali w biegu, aby zająć siedzące miejsce. Ostatni musieli stać do końca podróży, jak się mówiło na jednej nodze. Swoiste rekordy w „ciżbie” pasażerów bił dalekobieżny pociąg Zagórz- Jelenia Góra. Przyjeżdżał codziennie około godziny 22. Wsiąść do tego pociągu graniczyło z cudem. Ludzie wisieli na stopniach, buforach a nawet na dachach.

Na stacji w Limanowej maszynista zatrzymywał parowóz w pobliżu pompy z

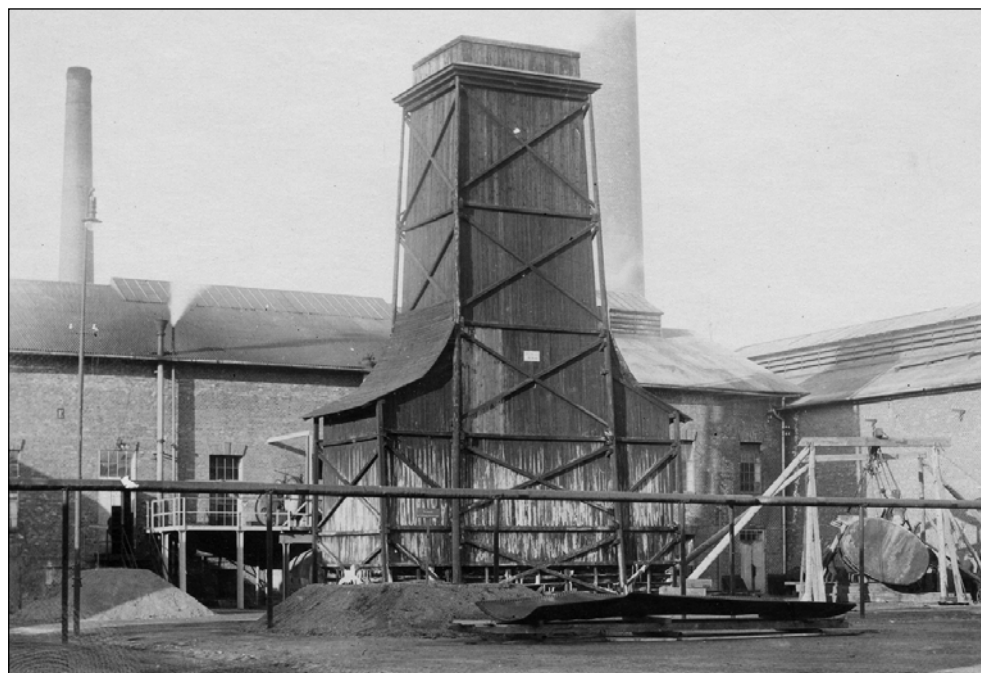
wodą, wówczas palacz wyskakiwał z lokomotywy, przekręcał ramię pompy i puszczał silny strumień wody do zbiornika. Kolejarze stalowymi młotkami na długich trzonkach stukali po obręczach kół. Czasem zdarzało się, że jakiś dowcipniś maszynista puszczał nadmiar pary w grupkę dziewcząt. Dyżurny ruchu w czerwonej czapce z lizakiem w ręku przyjmował i wypuszczał każdy pociąg w dalszą drogę.

Pociągami dojeżdżali wszyscy do szkół i do zakładów pracy.

Na stacji kolejowej w drewnianym baraku była kasa biletowa, kasa towarowa, biuro dyżurnego ruchu, poczekalnia dla podróżnych, no i bufet (budynek stacji kolejowej został zniszczony przez wycofujące się wojska niemieckie w styczniu 1945 roku). Specjalnością bufetu były kanapki z paszтетem, piwo grzane i wino patykami pisane. Korzystali z tego chętnie podróżni i robotnicy.

W pociągach osobowych nie brakowało chętnych jechania na gapę. Wsiadali oni do pociągu ostatni, pilnie obserwując do którego wagonu wsiada konduktor. Kiedy ten niespodziewanie zjawiał się, mówiąc grzecznie: „Proszę bilety do kontroli”, pasażerowie na gapę najspokojniej odpowiadali: „Miesięczny” i to czasem wystarczyło.

Drugim rodzajem taboru do przewozów osobowych był PKS. W latach powojennych dworcem autobusowym w Limanowej był rynek. Kasa biletowa mieściła się w małym drewnianym budynku obok popularnej wówczas restauracji „Mysliwska”.



Rafineria nafty w Sowlinach. Lata pięćdziesiąte XX wieku.

Pod pomnik św. Floriana podjeżdżały autobusy, przeważnie mając kurs do Krakowa lub do Nowego Sącza. Zabierano tych pasażerów, którzy posiadali bilety, a pozostali musieli czekać cierpliwie. Kogo i ilu pasażerów autobus zabral, zależało już tylko od konduktora. Nie pomogły żadne prośby: „Panie, ja jadę do szpitala” albo „To jest mój ostatni autobus”. Konduktor był „panem i władcą”, zatrząskiwiał drzwiami i autobus odjeżdżał.

Do takich miejscowości, jak: Skrzydłna, Jodłownik, Łukowica, Kamienica do 1957 roku nie dojeżdżały żadne autobusy. Dopiero w 1958 roku uruchomiono pierwsze regularne kursy.

Podróżowano wówczas tzw. „Pakeasami”. Były to zwykłe ciężarowe samochody, z tą tylko różnicą, że zamiast plan-deki posiadały drewniane budy, zamykane od tyłu drzwiami. Wzdłuż ścian były zamocowane drewniane ławki. Takie same dwie ławy były na środku paki. Pasażerowie siedzieli na nich plecami do siebie. Reszta stała i kiwała się pomiędzy ławkami. Było to jednak wielkie udogodnienie, bo można już było dojechać do wyznaczonego celu, chociaż nie wszystkich „pakeas” mógł zabrać.

Ludzie radzili sobie, jak mogli. Tam, gdzie do stacji kolejowej było więcej jak 10 kilometrów, jeździli furmankami lub szli pieszo. Do Ujanowic chodzili przez Łysą Górę i Szalas, do Jodłownika z Tymbarku, do Niedzwiedzia z Mszany Dolnej, do Kamienicy przez Ostrą.



Stacja kolejowa w Limanowej w latach osiemdziesiątych.

Fot. Z. Dutka

W latach pięćdziesiątych w Limanowej były dwie taksówki, kilka motocykli i rowerów. Wielką pomocą, choć niepewną dla ludzi, były samochody ciężarowe. Ludzie czekali cierpliwie przy gościńcu i zatrzymywali taki samochód. Kierowcy chętnie brali każdego autostopowicza, bo ci płacili uczciwie za podwiezienie. Nikt nie grymasił, siadał gdzie wolne miejsce: na masce motoru, z tyłu za kierowcą albo na pace samochodu, szczęśliwi, że nie muszą iść pieszo. Sytuacja zmieniła się w latach sześćdziesiątych.

Kiedy na miejscu dawnej targowicy w 1972 roku został wybudowany nowoczesny dworzec autobusowy i uruchomiono nowe trasy przewozowe do wszystkich gmin w naszym powiecie, problem komunikacji osobowej został rozwiązany.

Wspomnienia rozpocząłem od opowiadania o naturalnych zegarach, które regulowały czas naszego życia. Pragnę dodać, że kiedy pojawiły się w sklepach zegarki, te dobre i drogie oraz tanie zwane

„bukiaki”, wszyscy wtedy dumnie nosili je na rękach: panie i panowie, chłopcy i robotnicy, zwłaszcza kawalerka.

Czasy te minęły bezpowrotnie. Dziś, gdy na ulicy zapytasz przechodnia: „Przepraszam, która godzina?”, to na dziesięciu zapytanych może jeden ma zegarek, a inni wyciągają z kieszeni komórkę, coś tam nią manipulują i podają czas z dokładnością do jednej sekundy.

Zmieniły się także rodzaje komunikacji. Ludzie nie mają czasu. Wszyscy ogromnie pędzą, aby jak najszybciej dotrzeć do wyznaczonego przez siebie celu.

Gdy patrzę na puste dworce kolejowe, zaniedbane poczekalnie, porośnięte trawą i zielskiem nasypy kolejowe, żółte od rdzy szyny, prawie puste autobusy, coś ścisła mnie za serce. Bo żal tego, co było kiedyś barwne i ciekawe, wrosło w krajobraz naszego miasteczka, po prostu odmierzało czas i rytm naszego codziennego życia. To wszystko przeminęło, pozostały dziś tylko wspomnienia.



Stara, drewniana poczekalnia na stacji kolejowej w Limanowej - 1967 rok.



Dworzec autobusowy na limanowskim rynku. Lata sześćdziesiąte XX wieku.



**BANK SPÓŁDZIELCZY
W LIMANOWEJ**

Zastługujesz na **Wysoki Standard!**



Zyskaj na lokacie rocznej:

5,80% - dla lokat w kwocie 1 000-50 000 PLN

6,30% - dla lokat powyżej 50 000 PLN

oprocentowanie zmienne, podawane w stosunku rocznym.

Czas trwania promocji:

27.06.2011 - 30.09.2011

zobacz więcej na www.bs.limanowa.pl



GRUPA
psb

IMPULS[®]



CENTRUM BUDOWLANE IMPULS

**Zbieraj punkty
odbieraj nagrody**



**Zapytaj naszego doradcę o
PROGRAM SPRZEDAŻY PREMIOWEJ**

LIMANOWA ul. Piłsudskiego 14 c
Tel. 18 337 41 27, 18 337 59 77
e-mail : biuro@impuls-psb.pl
www.impuls-psb.pl